

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W porządku - rzekła kobieta o włosach barwy słomy, odziana w dżinsową kurtkę. - Róbcie, co do was należy. - Silny akcent zniekształcił jej słowa tak, że wypowiedź brzmiała bardziej jak: „Róbtta, co du wus nalyży”. Na jej orlikowatej twarzy odbijała się ciekawość i niecierpliwość osoby gotowej do spróbowania nieznanej potrawy.

Staliśmy na wietrznym polu, kilka mil na południe od międzystanówki łączącej Texarkane z Dallas. Wąską, dwupasmową szosą przemknął samo-chód. Jedyne pojazdy, jakie widziałam od czasu, kiedy jechaliśmy za czarnym chevroletem kodiakiem Lizzy Joyce, zmierzając na cmentarz Pioneer Rest, leżący nieopodal maleńkiego miasteczka Clear Greek.

Gdy nasza mała grupka zamilkła, wokół słychać było jedynie świst wiatru smagającego pagórek.

Cichy cmentarzyk leżał na otwartej przestrzeni. Ogrodzenie usunięto, ale raczej dawno. To miejsce pochówków było stare, jak większość podobnych w Teksasie. Grzebano tu zmarłych już wtedy, gdy wielki dąb ocieniający swą koroną nagrobki był małym drzewkiem. W gąszczu konarów świergotały ptaki. Ziemię porastała trawa, teraz, w lutym, przeredzona i zbrązowiała. Choć było prawie dziesięć stopni powyżej zera, wiatr wciskał się wszędzie przenikliwym chłodem. Zapięłam kurtkę. Lizzy Joyce ubrała się dość lekko jak na tę pogodę.

Okoliczni mieszkańcy byli zahartowanymi, pragmatycznymi ludźmi, a ta mniej więcej trzydziestoletnia blondynka, za której sprawą tu się znalazłam, nie stanowiła wyjątku. Szczupła, dobrze umięśniona, dżinsy pewnie wciągała, wysmarowawszy uprzednio nogi olejem. Nie wyobrażałam sobie, jak w tym stroju dawała radę dosiadać konia, ale znoszone buty i kapelusz mówiły same za siebie. Podobnie jak klamra od paska, która świadczyła, o ile dobrze odczytałam napis, że Lizzy jest zeszlóroczną zwyciężczynią okręgowych mistrzostw w slalomie wokół beczek. Prawdziwa twardzielka.

Posiadała także konto z taką ilością zer, jakiej nie zdołam dorobić się przez całe życie. Kiedy machnęła ręką, wskazując skrawek ziemi oddany zmarłym, diamenty na jej palcach zaskrzyły się w słońcu. Pani Joyce ponaglała mnie, bym przystąpiła do dzieła.

Przygotowałam się do „zrobienia, co du mnie nalyżało”. Lizzy słono płaciła za moje usługi i oczekiwała efektów. Na to spotkanie zaprosiła małą widownię, składającą się z partnera, młodszej siostry oraz brata, który sprawiał wrażenie, jakby wolał znajdować się teraz gdziekolwiek, byle nie na Pioneer Rest.

Mój brat stał oparty o samochód i nie zamierzał się stamtąd ruszać. Całą uwagę skupiał na mnie i tak miało pozostać, póki nie uporam się z zadaniem.

W myślach nadal nazywałam Tollivera bratem, choć gryzłam się w język, zanim określałam go tak na głos. Teraz nasze relacje wyglądały całkiem inaczej.

Po raz pierwszy spotkaliśmy się z rodziną Joyce'ów dzisiejszego ranka. Kierując się szczegółowymi wskazówkami, które Lizzy wysłała nam via e-mail, przebyliśmy długą drogę, wciśniętą pomiędzy rozległe, ogrodzone pola. Dom, do którego pro-wadziła szosa, był okazały, piękny, ale nie pretensjonalny. Widać, że jego mieszkańcy są ludźmi ciężkiej pracy. Meksykanka, która otworzyła drzwi, miała na sobie zwykłe spodnie i bluzkę, a nie jakiś wydumany uniform, zaś do swej pracodawczyni zwracała się po imieniu. Z uwagi na to, że na ranczu każdy dzień tygodnia jest dniem roboczym, nie zaskoczyły mnie pustki w domu. Większość mieszkańców widziałam z daleka poza budynkiem. Podążając za gosposią w głąb domu, dostrzegłam przez okno dżipa jadącego ścieżką pomiędzy wielkimi polami znajdującymi się na tyłach. Lizzy Joyce oraz jej siostra Kate przyjęły nas w pokoju myśliwskim. Domownicy pewnie nazywali to pomieszczenie pokojem dziennym lub bawialnią albo stosowali jeszcze inne określenie, pasujące do miejsca, gdzie zbierali się, by oglądać telewizję, grać w planszówki czy spędzać wieczory w sposób właściwy bogaczom, mieszkającym tam gdzie diabeł mówi dobranoc. Dla mnie był to pokój myśliwski. Na ścianach wisiała różnoraka broń oraz spreparowane głowy zwierząt, a wystrój miał nadawać wnętrzu charakter rustykalnej chaty łowieckiej. Założyłam, że całość odzwierciedlała gust dziadka obecnych właścicieli, który wybudował dom, jednakże gdyby młodym Joyce'om ten styl nie odpowiadał, mogli przecież przerobić wszystko według własnego upodobania. W końcu ów dziadek nie żył już od jakiegoś czasu.

Lizzy wyglądała tak jak na zdjęciach, które wcześniej oglądałam, ale na żywo robiła wrażenie jeszcze bardziej konkretnej. Była to bez wątpienia kobieta ciężko pracująca. Siostra, nazywana zdrobniale Katie, wyglądała jak jej młodsza, zminiaturyzowana wersja - niższa i mniej spracowana. Jednak tak samo silna i pewna siebie. Możliwe, że taką postawę kształtowało dorastanie w bogactwie.

Przeszklone drzwi pokoju prowadziły na dużą werandę obwieszoną donicami, które zapewne wiosną kipiały kwiatami. Na kwiaty jednak było za wcześnie. Nocami temperatura nadal spadała czasem poniżej zera. Joyce'owie zostawiali zimą na zewnątrz bujane fotele, a ich widok pobudził moją wyobraźnię. Zastanawiałam się, jak to jest, siadywać letnim rankiem na tym zadaszonym tarasie i pijąc kawę, wpatrywać się w rozległe przestrzenie pól.

U stóp wzniesienia pod werandą zatrzymał się dżip. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn, którzy wspięli się po zboczu i weszli przez szklane drzwi.

- Panno Conneley, to zarządca, rancza RJ, Chip Moseley, a to nasz brat, Drexell.

Oboje z Tolliverem wymieniliśmy z przybyłymi uściski dłoni.

Zarządca - przystojny, ogorzały mężczyzna o zielonych oczach i brązowych włosach - był wyraźnie sceptycznie nastawiony do całej sprawy, podobnie jak Drexell. Obaj chyba najchętniej nie przyszliby na to spotkanie. Przybyli tu jednak zgodnie z życzeniem Lizzy. Chip pocałował Lizzy w policzek. Widząc tę poufałość, zorientowałam się, że są partnerami nie tylko w interesach. To musiało być nieco niezręczne. Drexell, najmłodszy z Joyce'ów, wykazywał najmniej podobieństwa rodzinnego. Okrągłej, nieco dziecinnej twarzy brakowało ostrych, orlikowatych rysów sióstr. Inaczej niż Joyce'ówny, ani razu nie spojrzął mi prosto w oczy.

Odniosłam mgliste wrażenie, że gdzieś już widziałam obu mężczyzn. Niewykluczone, gdyż ranczo nie leżało tak znów daleko od Texarkany, jednak nie zamierzałam o tym wspominać. Za nic w świecie nie chciałam wywlekać na światło dzienne życia, jakie kiedyś prowadziłam. A nie zawsze byłam tajemniczą kobietą, która została porażona piorunem i od tamtej pory potrafi odnajdywać ciała zmarłych.

- Cieszę się, że znalazła pani czas, aby do nas przyjechać - zagaiła Lizzy.
- Moja siostra uwielbia niezwykłości - oświadczyła Katie, zwracając się głównie do Tollivera. Zdecydowanie wpadł jej w oko.
- Harper jest wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju - odpowiedział Tolliver, zerkając na mnie z leciutkim rozbawieniem.
- Cóż, to dobrze, bo za pieniądze, które Lizzy płaci, należy się coś naprawdę specjalnego. - Wychwyciłam w tonie Chipa ostrzegawcze nuty. Przyjrzałam mu się baczniej. Nie chciałam zostać posądzona o wykazywanie nadmiernego zainteresowania czyims facetem, ale coś w nim poruszało mój szósty zmysł. A przecież ruszał się, oddychał, co generalnie powinno go dyskwalifikować, jeśli chodzi o jakikolwiek odbiór za pomocą mojego szczególnego daru.

Zajmowałam się zmarłymi.

Wyglądało na to, że Lizzy Joyce, znalazłszy w Internecie stronę, na której śledzono moje sprawy oraz aktualne miejsce pobytu, nie mogła spokojnie spać, póki nie wymyśliła dla mnie jakiegoś zadania. W końcu stwierdziła, że koniecznie chce wiedzieć, co było przyczyną śmierci jej dziadka, którego zna-leziono leżącego bez ducha przy dżipie, na odległym krańcu rancza. Rich Joyce miał uraz czaszki, który, jak sądzono, mógł powstać w wyniku upadku podczas wsiadania lub wysiadania z samochodu bądź uderzenia głową o ramę, kiedy wpadł w poślizg. Ta druga teoria wydawała się jednak mało prawdopodobna ze względu na brak jakichkolwiek śladów świadczących o takim przebiegu zdarzenia. Kiedy znaleziono Richa, silnik był zgaszony, a w okolicy nie widziano żywego ducha. W końcu za przyczynę śmierci uznano atak serca i zmarłego złożono do grobu. Wszystko to działo się kawał czasu temu.

Ponieważ syn zmarłego oraz jego żona zginęli kilka lat wcześniej w wypadku samochodowym, majątek odziedziczyli wnukowie, choć nie w równych częściach. Z tego, co dowiedział się Tolliver, główną spadkobierczynią była Lizzy. Jej rodzeństwo otrzymało nieco mniej niż po jednej trzeciej schedy, co uprawniało najstarszą wnuczkę do dzierżenia steru rządów całym majątkiem oraz wskazywało, kogo dziadek darzył największym zaufaniem.

Ciekawe, czy Rich Joyce wiedział, że najstarsza wnuczka przejawia ciążotki do mistycyzmu? Choć może po prostu miała zamiłowanie do niezwykłości. W każdym razie jedno lub drugie było przyczyną naszej wizyty na cmentarzu, gdzie właśnie stałam, czekając, aż Lizzy da mi znak, że mogę zacząć.

W każdym calu pragmatyczna, ceniła swoje pieniądze, dlatego nie zamierzała mi niczego ułatwiać. W związku z tym nie wskazała ani miejsca pochówku dziadka, ani nawet nie zdradziła konkretnego celu zadania., dopóki nie dotarliśmy na cmentarz. Oczywiście mogłam obejść cały, odczytując po kolei wszystkie napisy na nagrobkach, aż znalazłabym ten odpowiedni. Nie leżało tu w końcu wielu Joyce'ów. Wziąwszy jednak pod uwagę, że nie mrugnęła okiem na wycenę zlecenia, postanowiłam nie spieszyć się i zrobić na jej użytek mały show.

Zdjęłam buty, choć wiedziałam, że będę musiała dobrze patrzeć pod nogi. Trawa co prawda robiła wrażenie zadbanej, ale w Teksasie zwykle wśród źdźbeł kryła się masa kolców. Jeszcze raz potoczyłam wzrokiem po rozległej, bezludnej panoramie roztaczającej się z pagórka. Księżycowy krajobraz wokół cmentarzyka stanowił niezwykle kontrast z gęsto zamieszkanymi, zurbanizowanymi rejonami, przez które przejeżdżaliśmy w drodze do miejsca naszego ostatniego zlecenia w Północnej Karolinie. Docelowo znaleźliśmy się w małym miasteczku, ale nawet ono nie robiło wrażenia tak odizolowanego od cywilizacji, jak to pustkowie. Tam zawsze towarzyszyła nam świadomość, że kolejna osada leży oddalona o kilka minut jazdy samochodem.

Jednak tu przynajmniej nie było tak zimno jak tam i raczej na pewno nie zaskoczy nas śnieg. Stopy co prawda mi marzły, ale to było nic w porównaniu z przejmującym, wilgotnym zimnem Północnej Karoliny.

Joyce'ów chowano w pobliżu dębu. Z daleka widziałam wielki głaz, zeszlifowany z jednej strony na gładko. Na płaskiej powierzchni wielkimi literami wryto nazwisko rodowe. Nikt by nie uwierzył, że nie zauważyłam czegoś tak oczywistego. Przystanęłam przy pierwszej z mogił i kontynuowałam szopkę, choć na pewno nie był to grób, o który chodziło. Ale to nieistotne, musiałam przecież od czegoś zacząć. Na nagrobku wypisano: „Sara, ukochana żona Paula Joyce'a". Odetchnęłam głęboko i wstąpiłam na mogiłę. Kontakt z leżącymi pod ziemią kośćmi nawiązałam natychmiast. Był jak porażenie prądem. Sara czekała, jak wszyscy - i ci nieżyjący od dawna, i ci zmarli ostatnio, i ci złożeni w grobach, i ci porzuceni jak śmieci. Sięgnęłam w głąb.

Nawiązanie kontaktu. Odczytanie informacji.

- Kobieta, koło sześćdziesiątki, tętniak - powiedziałam. Otworzyłam oczy i przeszłam na kolejny grób, dużo starszy. - Hiram Joyce. - Skoncentrowałam się na połączeniu z resztkami kości. – Zatrucie krwi - rzekłam po chwili. Wstąpiwszy na sąsiednią mogiłę, stałam przez chwilę nieruchomo. Impuls był bardzo wyraźny - zew kości, szczątków. Chciały zostać wysłuchane, opowiedzieć o przyczynie śmierci, wyjawić przebieg ostatnich chwil życia. Spojrzałam na kamień nagrobny. Zupełnie jak ponowne wynajdywanie koła.

Kobieta. Nie pochodziła z Joyce'ów, ale była z nimi związana. Zmarła ponad osiem lat temu. Mariah Parish. Dostrzegłam nagle napięcie w postawie dwóch mężczyzn stojących pod drzewem, ale kontakt ze zmarłą był tak intensywny, że nie zastanawiałam się nad tym.

- Och... - szepnęłam. Powiew wiatru rozwał mi włosy. - Biedactwo.

- Co? - w szorstkim głosie Lizzy brzmiała tylko niepewność. - To pielęgniarzka dziadka. Pękł jej wyrostek czy coś takiego.

- Wykrwawiła się po porodzie. - Dodałam dwa do dwóch i zerknęłam na mężczyzn. Drexell aż postąpił naprzód. Chip Moseley stał ogłuszony, ale i wściekły. Nie wiem, czy tak wstrząsnęła nim sama informacja, czy to, że wypowiedziałam ją na głos. Jednak ich emocje nie miały już znaczenia, Mariah od dawna nie żyła. Odwróciłam się ku mogile, która była moim celem. Znajdująca się na niej płyta nagrobkowa, podwójna, należała do największych w grupie. Żona Richarda odeszła dziesięć lat przed mężem. Miała na imię Cindilynn i zmarła na raka piersi. Usłyszawszy moją diagnozę przyczyny śmierci, Kate i Lizzy spojrzwały po sobie i kiwnęły głowami. Przesunęłam się o krok, stając nad Richardem. Pochowano go osiem lat wcześniej, raptem kilka miesięcy po opiekunce. Przechyliłam głowę, wsłuchując się w to, co przekazywały mi kości.

Przed śmiercią ujrzał coś, co go zaskoczyło. Nie od razu pojął, dlaczego zatrzymał samochód i wysiadł, ale już po chwili wiedziałam, że dostrzegł kogoś znajomego.

Nie miałam przed oczyma tej osoby. Mój dar nie działa obrazami. Raczej jakbym na moment znalazła się w skórze nieżyjącej osoby, odbierała jej myśli, odczuwała emocje ostatnich chwil życia. Wiedziałam tylko, że Rich Joyce przystanął na czyjś widok. Nie uświadomiłam sobie procesu myślowego, prowadzącego do rozpoznania oraz podjęcia decyzji o zatrzymaniu się. Jako Rich zgasiałam silnik, wysiadłam i nagle dostrzegłam (Rich dostrzegł) lecącego ku mnie (ku niemu) węża, grzechotnika, a wstrząs przyprowadził mnie (jego) o atak serca. Gorąco wody gdzie telefon Boże umieram tak, a potem wszystko się urwało. Zacisnęłam powieki, chcąc lepiej pojąć przebieg wydarzeń, powiązać sceny, których byłam świadkiem, zrozumieć, co się stało.

Gdy otworzyłam oczy, rodzeństwo Joyce'ów i zarządca wpatrywali się we mnie, jakby na moim ciele nagle wystąpiły stygmaty. Czasami ludzie tak reagują, mimo że sami proszą o moją pomoc.

Przerażam ich albo fascynuję (nie zawsze jest to całkiem zdrowa fascynacja), bywa, że to i to jednocześnie. Jednak nie fascynacja wzięła górę tym razem. Chip patrzył na mnie, jakbym miała na sobie kaftan bezpieczeństwa, zaś Joyce'owie gapili się po prostu z otwartymi oczyma. Żadne z nich nie wydało najcichszego dźwięku.

- Teraz już wiecie - podsumowałam.

- Mogłaś to zmyślić - zaprotestowała Lizzy. - Ktoś tam był? Jakim cudem? Nikt niczego nie widział. Sugerujesz, że ktoś rzucił na dziadka grzechotnika? I to przyprawiło go o zawał, a ten ktoś tak go zostawił? I twierdzisz, że Mariah była w ciąży? Nie płacę ci za kłamstwa!

Dobra, wkurzyła mnie. Nabrałam powietrza. Kątem oka dojrzałam Tollivera, który wyprostował się jak struna, z wyrazem czujności na twarzy. Chip stał przy dziapie, zgięty w pół, opierając się ręką o maskę. Zrozumiałam, że przyczyną takiej reakcji był ból, i pomyślałam, że nie byłby szczęśliwy, gdybym zwróciła na niego uwagę reszty.

- Sprowadziła mnie tu pani w pewnym celu, a ja wykonałam zadanie - powiedziałam, rozkładając ręce. - W tym wypadku nawet ekshumacja dziadka nie potwierdzi moich słów. Upredztałam, że tak właśnie może być. Jeśli chodzi o Mariah Parish, oczywiście można to sprawdzić, jeśli pani na tym zależy. Powinien być akt urodzenia albo inny ślad w dokumentacji.

-To prawda - przyznała Lizzy, a na jej obliczu odbijał się teraz raczej namysł niż oburzenie. - Mariah i jej dziecko, o ile w ogóle je miała, to jedna kwestia, ale nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek mógłby zrobić coś takiego dziadkowi. Zakładając, że pani nie kłamie.

- Może pani wierzyć albo nie. Pani sprawa. Wiedziała pani o jego problemach z sercem?

- Nie, był typem unikającym lekarzy. Ale miał wcześniej zawał, a z ostatniej wizyty kontrolnej wrócił przygnębiony.

Widać, że niejednokrotnie o tym myślała.

- Miał w aucie komórkę, tak? - zapytałam.

- Owszem - przytaknęła.

- Próbował jej dosięgnąć. - Niektóre ostatnie sekundy bywają wyraźniejsze niż inne.

Zerknęłam przelotnie na Tollivera, po czym odwróciłam głowę. Widoczne w jego postawie napięcie zelżało. Uznałam, że sytuacja wróciła do normy.

- Wierzycie w te brednie? - zapytał Chip z niedowierzaniem. Atak dolegliwości już mu minął, bowrócił do nas, stając przy Lizzy. Spoglądał na nią przy tym, jakby widział ją po raz pierwszy, a ze znalezionych przez nas informacji wynikało, że są razem od sześciu lat.

Lizy była zbyt pewna siebie, by reagować pochopnie. Zamyślona, wyjęła papierosa i zapaliła go. Wreszcie odwróciła się do Chipa.

- Tak, wierzę jej.

- Kurde! - Katie zdjęła kapelusz i trzepnęła się nim po chudym udzie. - Pewnie teraz będziesz chciała zaangażować w to Johna Edwarda. Lizzy rzuciła siostrze nieprzyjazne spojrzenie.

- Moim zdaniem ona zmyśla - oświadczył Drexell.

Lizy dała nam zaliczkę. I tak co prawda jechaliśmy do Teksasu, ale nie zjechalibyśmy z drogi, gdy-by nie zapłaciła nam częściowo z góry. Dziwne, ale to właśnie bogatsi klienci mają skłonność do zmiany zdania. Z biedniejszymi zwykle nie ma problemów. Tak więc, choć zrealizowaliśmy pierwszy czek od Joyce'ów, reszta zapłaty stanęła pod znakiem zapytania. Rozdźwięk i niedowierzanie w grupce były aż nazbyt wyraźne, więc na dwoje babka wróżyła.

Jednak zanim na dobre zaczęłam się tym martwić, Lizzy wyciągnęła z kieszeni złożony czek i wręczyła go Tolliverowi, który tymczasem podszedł do nas i teraz objął mnie ramieniem. Rzeczywiście, byłam odrobinę rozbita. Kontakt z Richem nie był aż tak silnym przeżyciem, jak to czasem bywało, bo jego lęk trwał zaledwie ułamek sekundy, ale każde bezpośrednie zetknięcie ze śmiercią pozbawiało mnie sił.

- Chcesz cukierka? - zapytał.

Kiedy kiwnęłam głową, rozwinął jednego z Werther's Original, które miał w kieszeni, i włożył mi go do ust. Złota, śmietankowa rozkosz.

- Myślałam, że jesteście rodzeństwem - skomentowała ten gest Katie, przyglądając się bacznie Tolliverowi. Wiedziałam, że nie ma jeszcze trzydziestki, ale jej sposób mówienia i chodzenia należały do znacznie starszej, bardziej doświadczonej osoby. Zastanawiałam się, czy to rezultat dorastania w bogatej, lecz pragmatycznej rodzinie teksańskiej, czy też życie wśród Joyce'ów obfitowało w jakieś inne źródła stresów.

- Bo jesteśmy - potwierdziłam.

- Zachowujecie się bardziej jak para - stwierdził

Drexell z rozbawieniem.

-Jesteśmy przybranym rodzeństwem i parą -wyjaśnił Tolliver z uśmiechem. - Na nas już czas. Dziękuję, że zwróciliście się do nas z kłopotem, i mam nadzieję, że pomogliśmy. - Skinął wszystkim na pożegnanie. Tolliver nie jest przesadnie wysoki, nie ma metra osiemdziesięciu, ale prawie. Jest też dość szczupły, choć ma szerokie barki. Ale dla mnie jest idealny i kocham go najbardziej na świecie.

Obudził mnie szum prysznic. Mieszkaliśmy już w tak wielu motelach, że czasem o poranku potrzebowałam chwili, aby przypomnieć sobie, w jakiej miejscowości znajduje się ów konkretny pokój. Ten poranek należał właśnie do takich.

Teksas. Po rozstaniu z Joyce'ami spędziliśmy pół dnia w drodze, zanim dojechaliśmy do tego motelu, położonego przy trasie międzystanowej pod Garland, nieopodal Dallas. Tym razem nie była to podróż w interesach, a w sprawach osobistych.

Kiedy otworzyłam oczy i oprzytomniałam, natychmiast opadły mnie ponure myśli o dawnych, złych czasach. Za każdym razem podczas odwiedzin u ciotki i jej męża, mieszkających pod Dallas, wracały do mnie nieprzyjemne wspomnienia.

Nie wiązało się to z pobytem w tym stanie.

To bliskość sióstr sprawiała, że przypomiinałam sobie życie w zdezelowanej przyczepie w Texarkanie, gdzie mieszkaliśmy z Tolliverem, jego ojcem, moją matką oraz siostrą, a także dwiema wspólnymi przyrodnimi siostrzyczkami, które w chwili rozpadu naszej rodziny były jeszcze prawie niemowlakami.

Krucha równowaga, którą nam, starszym dzieciom, udało się utrzymać przez kilka lat, runęła w momencie zaginięcia mojej siostry Cameron. Fatalne warunki, w jakich żyliśmy, wyszły nagle na jaw, a w konsekwencji odebrano nam najmłodsze siostrzyczki. Tolliver musiał zamieszkać ze starszym bratem, Markiem, ja zaś zostałam umieszczona w rodzinie zastępczej.

Dziewczynki nawet nie pamiętały Cameron. Za-pytałam je o to podczas ostatniego spotkania. Teraz mieszkały z ciotką Iona i wujem Mankiem, których nie zachwycały nasze wizyty. Mimo to nie ustępowaliśmy. Mariella i Grace (zwana zdrobniale Gracie) były naszymi siostrami i chcieliśmy, aby pamiętały, że mają rodzinę.

Podparta na łokciu, obserwowałam, jak Tolliver się wyciera. Idąc pod prysznic, nie zamknął drzwi od łazienki, bo zaparowałoby lustro i nie mógłby się ogolić.

Mimo braku pokrewieństwa, jesteśmy do siebie trochę podobni. Oboje mamy ciemne, krótkie włosy i szczupłe sylwetki. Także oczy mamy ciemne: on brązowe, ja szare.

W okresie dojrzewania Tolliver cierpiał na ostry trądzik, a ponieważ jego ojciec zaniedbał leczenie u dermatologa, pozostały mu blizny. Tolliver ma wąską twarz i często nosi wąsy. Nie znosi ubierać się inaczej niż w dżinsy i koszulki, a ja owszem, wolę mniej sportowe stroje, szczególnie, że klienci się tego po mnie spodziewają, w końcu jestem „gwiazdą”. Tolliver jest moim menedżerem, doradcą, wsparciem, towarzyszem, a od kilku tygodni także kochankiem.

Odwróciwszy się, dostrzegł, że go obserwuję. Z uśmiechem odrzucił ręcznik.

- Chodź do mnie - poprosiłam.

Natychmiast przyszedł.

- Masz ochotę na przebieżkę? - zapytałam po południu. - Potem możemy wziąć wspólny prysznic, w ten sposób zaoszczędzimy wodę.

Szybko przebraliśmy się w stroje do biegania i po krótkiej rozgrzewce wybiegliśmy na zewnątrz. Tolliver jest szybszy ode mnie i zwykle odsądza mnie sporo na ostatnim odcinku. Dzisiaj było podobnie.

Udało nam się znaleźć miłą trasę. Motel stał przy wjeździe na drogę międzystanową i otaczały go inne hotele, restauracje, stacje benzynowe oraz różne przydrożne interesy, jednak na tyłach odkryliśmy jeden z „parków inwestycyjnych”. Tutaj tworzyły go ciągnące się wzdłuż dwóch krętych ulic parterowe biurowce z placykami parkingowymi oraz skwerami. O zieleń zadbano także na pasach rozdzielczych, na tyle szerokich, że pomieściły szpalery mirtów. Chodniki przy ulicach dodawały całości przyjaznej atmosfery. Było piątkowe popołudnie, więc w enklawie nijakich budynków, podzielonych na sekcje opisane nic nam niemówiącymi nazwami, takimi jak Great Systems, Inc. czy Genesis Distributors, panował nikły ruch. Do każdego skupiska prowadził osobny dojazd, wiodący prawdopodobnie na wewnętrzny parking pracowniczy. Frontowe placyki z miejscami postojowymi dla klientów były niemal puste, a ostatni pracownicy wyjeżdżali do domów na weekend.

Ostatnią rzeczą, jakiej spodziewałabym się w takim miejscu, był nieżywy człowiek.

Pochłonięta rozmyślaniami o bolącej nodze, która dokuczała mi od czasu porażenia piorunem, w pierwszej chwili nie zwróciłam uwagi na wołanie kości.

Oczywiście martwi leżą wszędzie. Mój zmysł wy-chwytuje nie tylko niedawnych zmarłych, ale tak-że tych sprzed wieków. Czasami nawet, choć bardzo rzadko, odbieram słabe echa śladów po ludziach, którzy chodzili po tej ziemi, zanim wynaleziono pismo. Jednak ten mężczyzna, który nawiązał ze mną kontakt tu, na przedmieściach Dallas, zmarł bardzo, bardzo niedawno. Przez chwilę truchtałam w miejscu.

Nie mogłam zyskać pewności bez zbliżenia się do ciała, ale odniosłam wrażenie, że zginął z powodu samobójczego strzału z broni. Spróbowałam go zlokalizować. Znajdował się gdzieś na tyłach biur z szyldem Designated Engineering. Odegrałam ogarniający mnie żal. Miałam w tym praktykę. Żałować go? Sam dokonał wyboru. Gdybym żałowała każdego, kto umarł, płakałabym bez przerwy.

Nie, nie traciłam czasu na emocje. Zastanawiałam się, co robić. Mogłam zostawić go samego sobie i tak podpowiadał mi rozsądek. Pierwszy pracownik, który przyjdzie do Designated Engineering, przeżyje szok, o ile wcześniej rodzina zmarłego nie zadzwoni na policję, zaniepokojona, że krewny nie wrócił do domu. Zostawienie go ot tak wydawało się okrutne, owszem. Jednak nie uśmiechało mi się poświęcanie czasu na długie wyjaśnienia na policji.

Bieganie w miejscu nie rozgrzewało wystarczająco. Marzłam. Trzeba było podjąć decyzję.

To prawda, nie mogę pozwolić sobie na rozdieranie szat nad każdym zmarłym, jednak z drugiej strony - nie chciałam zatracić człowieczeństwa.

Rozejrzałam się wokół w poszukiwaniu inspiracji. Odnalazłam ją w kamieniach otaczających rabatę przy wejściu. Po kilku próbach wybrałam największy, jaki zdołałam unieść jedną ręką. Spojrzałam dookoła. Żadnych samochodów w zasięgu wzroku, żadnych pieszych. Odsunęłam się, wzięłam zamach i cisnęłam kamieniem. Jeszcze dwukrotnie musiałam wrócić po nowy pocisk i powtórzyć cały proces, zanim szyba roztrzaskała się, a alarm zawył. Rzuciłam się biegiem w stronę motelu. Czapki z głów przed tutejszymi stróżami prawa. Ledwie zdążyłam dotrzeć na motelowy parking, kiedy dostrzegłam zmierzający w stronę biur radiowóz.

Godzinę później, nakładając makijaż, miałam okazję opowiedzieć Tolliverowi o tym, co się wydarzyło. Wcześniej wzięłam długi prysznic, do którego Tolliver dołączył pod pozorem pomocy przy myciu włosów.

Czysta i pachnąca przechylałam się nad umywalką, starając narysować równą kreskę. Choć miałam tylko dwadzieścia cztery lata, musiałam przysuwać się blisko lustro, co oznaczało, że przy kolejnej wizycie kontrolnej okulista przepisze mi prawdopodobnie okulary. Nigdy nie uważałam się za próżną osobę, ale poczułam niemiłe ukłucie żalu, gdy wyobraziłam sobie siebie w okularach. Może soczewki kontaktowe? Jednak wzdrygnęłam się na myśl o wsadzeniu sobie czegośkolwiek do oka.

Główną moją troską związaną z korekcją wzroku były jednak koszty, z jakimi się to wiązało. Oszczędzaliśmy i odkładaliśmy każdego centa na zaliczkę na dom, jaki mieliśmy nadzieję kupić tutaj, w okolicy Dallas. Z punktu widzenia naszych interesów lepszą lokalizacją byłoby St. Louis, ale osiadłszy tu, moglibyśmy częściej widywać siostrzyczki. Hankowi i łonie pewnie to się nie spodoba i będą mnożyć przeszkody. Przeprowadzili adopcję i byli prawnymi opiekunami dziewczynek. Mimo to liczyliśmy, iż uda nam się ich przekonać, że korzyści, jakie Mariella i Gracie czerpałyby z kontaktów z nami, byłyby nie mniejsze niż nasze. Wchodząc do

łazienki, Tolliver pocałował mnie w ramię. Uśmiechnęłam się, patrząc na jego odbicie w lustrze.

-Tam dalej coś się stało, jest sporo policji -rzekł. - Wiesz coś na ten temat?

-Jakbyś zgadł - odparłam, czując wyrzuty sumienia, że nie opowiedziałam mu wszystkiego wcześniej. Przed prysznicem nie zdążyłam, a później mnie zdekoncentrował. Dopiero teraz nadrobiłam zaniedbanie, zdając relację z natknięcia się na zmarłego i rozbicia szyby kamieniem.

- Dobrze zrobiłaś, policja już go znalazła - powiedział Tolliver. - Choć wolałbym, żebyś to tak zostawiła.

Takiej reakcji się spodziewałam. Tolliver nie pochwalał angażowania się w sprawy, za które nam nie płacono. W lustrze dostrzegłam subtelną zmianę na jego twarzy, domyśliłam się, że zamierza zmienić temat i porozmawiać o czymś poważnym.

- Brałaś kiedyś pod uwagę, że może powinniśmy odpuścić? - zapytał.

- Odpuścić? - Skończywszy malować rzęsy na prawym oku, przeniosłam szczoteczkę z tuszem do drugiego. - Co odpuścić?

- Kwestię Marielli i Gracie.

Odwróciłam się do niego.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - rzekłam, choć w głębi duszy obawiałam się, że dobrze wiem, co ma na myśli.

- Może powinniśmy poprzestać na odwiedzinach raz do roku i wysyłaniu prezentów gwiazdkowych oraz urodzinowych?

- Ale dlaczego? - spytałam wstrząśnięta. Przecież od lat ciualiśmy pieniądze z myślą o tym, aby stać się częścią ich życia, a nie wycofać się z niego.

- Mieszą im w głowach. - Tolliver podszedł bliżej i położył mi rękę na ramieniu. - Dziewczynki mają problemy, ale chyba lepiej sobie z nimi poradzą pod opieką lony niż przy nas. Nie możemy dać im stałej opieki. Ciągłe jesteśmy w podróży, lona i Hank są odpowiedzialni, nie piją, nie biorą prochów. Prowadzają dziewczynki do kościoła i pilnują, żeby chodziły do szkoły.

- Mówisz poważnie? - upewniłam się, dobrze wiedząc, że Tolliver nigdy nie żartuje na tematy związane z rodziną. Czuję się ogłuszona. - Nigdy nie brałam pod uwagę odebrania im dziewczynek, nawet jeśli udałoby nam się przeprowadzić to prawnie. Naprawdę uważasz, że powinniśmy nawet ograniczyć wizyty do minimum? Jeszcze bardziej niż teraz?

- Tak. Tak uważam.
- Ale dlaczego?
- Cóż, po pierwsze wpadamy tu rzadko i nieregularnie, a poza tym na krótko. Zabieramy je gdzieś, pokazujemy coś nowego, próbujemy zainteresować rzeczami, które nie są częścią ich codziennego życia, a potem znikamy, zostawiając, hm... ich „rodzicom” radzenie sobie z efektami tego wszystkiego.
- Efektami? Jakimi efektami? Mówisz, jakbyśmy byli jakimiś złymi wrózkami chrzestnymi. - Staralam się powściągnąć gniew.
- Ostatnim razem Iona powiedziała mi, pamiętasz, zabrałaś wtedy dziewczynki do kina, że jej i Hankowi trzeba tygodnia ciężkiej pracy, aby wszystko wróciło do normy po naszej wizycie.
- Ale... - zająknęłam się, nie wiedząc, od czego zacząć. Potrząsnęłam głową, zbierając myśli. - Znaczący, że mamy się usunąć, bo tak jest wygodniej Ionie? Przecież dziewczynki są naszymi siostrami. Kochamy je. Muszą wiedzieć, że świat nie kończy się na Ionie i Hanku - pod koniec mówiłam już podniesionym głosem.

Tolliver przysiadł na krawędzi wanny.

- Harper, Iona i Hank je wychowują. Nie musieli się tego podejmować, gdyby nie oni, dziewczynkami zajęłyby się odpowiednie służby. Jestem pewien, że opieka prędkiej umieściłaby je w rodzinie zastępczej, niż oddała nam. Mieliśmy szczęście, że Iona i Hank zdecydowali się dać im szansę. Są starsi niż przeciętni rodzice dzieci w takim wieku. I owszem, są surowi, ale to dlatego, że boją się, żeby dziewczynki nie powtórzyły błędów naszych rodziców. Ale zaadoptowali Mariellę i Gracie, są ich rodzicami.

Otworzyłam usta, ale zamknęłam je natychmiast. Miałam wrażenie, jakby w umyśle Tollivera pękła jakaś tama i przez usta wylewały się teraz myśli, których istnienia nigdy wcześniej nie podejrzewałam.

- Fakt, nie mają zbyt szerokich horyzontów - ciągnął. - Ale to oni dzień w dzień zmagają się z problemami dziewczynek. Chodzą na wywiadówki, na spotkania z dyrektorem, dbają o szczepienia, a w razie choroby zabierają do lekarza. Pilnują pór spania i nauki. Kupują im ubrania. Płacą za ortodontę i tak dalej. - Wzruszył ramionami. - My nie możemy im tego zapewnić.
- To co, twoim zdaniem, powinniśmy robić? Zrezygnować ze wszystkiego, co do tej pory robiliśmy? - Wysłałam z łazienki i usiadłam na niezastanym łóżku.

Tolliver przyszedł za mną i usiadł obok. Podciągnęłam kolana pod brodę, obejmując nogi ramionami.

Powstrzymywałam cisnące się do oczu łzy. – Mamy porzucić siostry? Jediną rodzinę, jaka nam została? - Nie brałam pod uwagę ojca Tollivera, człowieka, który miesiąc temu przepadł bez wieści.

Tolliyer przykucnął przede mną.

- Myślę, że powinniśmy odwiedzać je przy okazji świąt, urodzin i innych tego rodzaju okazji... przewidywalnych. Planować pod tym kątem trasy. Bywać u nich góra dwa razy do roku. I chyba powinniśmy też zwracać bacniejszą uwagę na to, co mówimy przy dziewczynkach. Gracie ponoć wypaplała Ionie, że ona twoim zdaniem jest skostniała. Choć w jej wersji wyszła „koścista”.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- No dobra, tu masz rację. Nie powinniśmy dyskredytować przed dziewczynkami ludzi, którzy je wychowują. To nie w porządku. Myślałam, że się kontroluję.

- Na pewno się starasz. - Uśmiechnął się lekko. - Ale to nie kwestia słów, a raczej wyrazu twarzy. Przynajmniej zazwyczaj.

- Okej, łapię. Myślałam, że przeprowadzając się tutaj, nawiążemy bliższe kontakty. Może nawet udałoby nam się rozbić ten mur pomiędzy nami a wujostwem. Widywalibyśmy dziewczynki częściej, a dzięki temu zrobiłoby się zwyczajniej. Może czasem spędzałyby z nami weekendy, Iona i Hank pewnie też chcieliby trochę czasu dla siebie.

Tolliver zestawiał mój scenariusz z własnymi przemyśleniami.

- Naprawdę sądzisz, że Iona przekonałaby się do nas? Teraz, kiedy jesteśmy razem?

Zamilkłam. Nasz związek zaszokowałby ciotkę i wuja - delikatnie rzecz ujmując. Mogłam to nawet zrozumieć. W końcu jako nastolatki dorastaliśmy z Tolliverem w jednej rodzinie. Mieszkaliśmy pod jednym dachem. Moja matka była żoną jego ojca. Przez lata uchodziliśmy za rodzeństwo. Nawet teraz, z przyzwyczajenia, czasem myślałam o nim jak o bracie. Choć nie łączyło nas pokrewieństwo, z punktu widzenia osoby z zewnątrz nasz związek romantyczny miał w sobie pewien niezdrowy element. Nie byliśmy głupi, zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

- No, nie wiem... - sprzeciwiłam się dla samego oponowania. - Może by to zaakceptowali. – Sama w to nie wierzyłam.

- Sama w to nie wierzysz - skwitował Tolliver. - Wiesz dobrze, że Iona i Hank by się wściekli.

Wściekłość Iony oznaczała boskie gromy. Jeśli Iona uważała, że coś jest wątpliwe moralnie, Bóg uważał tak samo. A to Bóg poprzez osobę Iony rządził w tamtym domu.

- Ale przecież nie możemy ukrywać przed nimi charakteru naszego związku - rzekłam bezsilnie.

- Na pewno nie powinniśmy i nie będziemy. Powiemy im, a potem będziemy czekać, jak się sprawy potoczą.

Postanowiłam zmienić temat, ponieważ potrzebowałam czasu na przemyślenie tego, o czym dyskutowaliśmy.

- A kiedy zobaczymy się z Markiem? - Markiem, czyli starszym bratem Tollivera.

- Jesteśmy umówieni na jutro wieczór w Texas Roadhouse.

- To świetnie. - Udało mi się wykrzesać uśmiech, choć słaby. Lubiłam Marka, mimo że nie byłam z nim tak związana, jak z Tolliverem. Dbał o nas zawsze, na tyle, na ile mógł. Nie przy każdej wizycie w Teksasie udawało nam się zobaczyć z Markiem, więc naprawdę się cieszyłam, że znajdzie czas, aby zjeść z nami kolację. - A dzisiaj mamy w planach krótką wizytę u Iony, tak? No, to zobaczymy, jak będzie. Idziemy na żywioł?

- Idziemy na żywioł - potwierdził Tolliver i uśmiechnęliśmy się do siebie. Starłam się nadal uśmiechać podczas jazdy do Garland, gdzie mieszkały nasze siostry. Choć dzień był piękny, nie miałam pogodnego nastroju, Iona Gorham (z domu Howe) dążyła do tego, aby stać się jak najbardziej antylaurelowa. Laurel Howe Connelly Lang, moja matka, starsza prawie o dekadę od siostry, jako młoda dziewczyna była atrakcyjna, lubiana i towarzyska. Świetnie się uczyła i poszła na studia prawnicze. Tam poznała Cliffa Connelly'ego, swego przyszłego męża i mojego ojca. Matka była trochę szalona, może nawet bardziej niż trochę, ale ambitna i odnosiła sukcesy.

Iona w rywalizacji z siostrą postawiła na kontrast, podążając drogą „słodkiej i religijnej”. Patrząc na jej twarz, kiedy otworzyła nam drzwi, zastanawiałam się, kiedy ta słodycz obróciła się w gorycz, Iona zawsze robiła wrażenie rozczarowanej.

Tym razem jednak miała odrobinę mniej kwaśną minę. Ciekawe dlaczego. Zwykle nasza wizyta wykrzywiła jej oblicze jak po zjedzeniu niedojrzałej cytryny. Nie przekroczyła czterdziestki, ale trudno było określić jej wiek po wyglądzie.

- No, proszę, wejdźcie - powitała nas, odsuwając się zapraszająco.

Za każdym razem odnosiłam wrażenie, że wpuszcza nas do domu z musu i najchętniej zatrzęsłaby nam drzwi przed nosem. Jedyne podobieństwo fizyczne, jakie łączy mnie z ciotką, to kolor oczu. Iona jest niższa ode mnie, okrągłutka, a jej jasnobrązowe włosy, nieco już spłowiałe, powoli siwieją, choć w ładny sposób.

- Co u ciebie? - zagał Tolliver przyjaźnie.

- Fantastycznie - odparła łona, przyprawiając nas o opad szczęki. W życiu nie słyszeliśmy z jej ust czegoś podobnego. - U Hanka odzywa się artretyzm -

ciągnęła, ślepa na naszą reakcję - ale, Bogu dzięki, wstaje i chodzi do pracy. - łona pracowała na pół etatu w Sam's Club, zaś Hank pełnił funkcję kierownika działu mięsnego w dużym oddziale Wal-Marta.

- A jak w szkole u dziewczynki? - zadałam nieśmiertelne pytanie awaryjne. Nie patrzyłam na Tollivera, wiedząc, że jest równie jak ja zbity z tropu, łona zaprowadziła nas do kuchni, gdzie zwykle rozmawialiśmy. W salonie przyjmowała tylko prawdziwych gości.

- Mariella radzi sobie całkiem nieźle. Jest typem średniaka - odparła. - A Gracie, jak zwykle, zawsze trochę w tyle. Kawy? Nastawiłam czajnik.

- Chętnie, czarną proszę - rzekłam.

- Pamiętam - zauważyła nieco ostrzej, jakby urażona insynuacją, jakoby była złą gospodynią. To brzmiało bardziej typowo, jak łona, i od razu się trochę uspokoiłam.

- A ja z cukrem - zaznaczył Tolliver i kiedy ciotka odwróciła się do nas plecami, spojrzął na mnie, unosząc brwi. łona zachowywała się naprawdę dziwnie.

Szybko stanął przed nim parujący kubek, cukiernica, tyżeczka i serwetka. Ja dostałam swoją kawę jako druga, łona napełniła dla siebie trzecie naczynie, po czym usiadła najbliżej czajnika w pozycji, która wskazywała, jak to bardzo jest zmęczona. Przez chwilę nie odzywała się, jakby intensywnie nad czymś myślała. Na środku okrągłego stołu kuchennego leżała sterta poczty. Odruchowo od-czytałam druki. Rachunek telefoniczny, rachunek z kabłówki i koperta, z której wystawał fragment zapisanej odręcznie kartki. Pismo wydało mi się nie-przyjemnie znajome.

-Jestem wykończona - przerwała wreszcie milczenie łona. - Sześć godzin na nogach. - Miała na sobie spodnie, koszulkę i sportowe buty. Nigdy nie przywiązywała wagi do stroju, w przeciwieństwie do mojej matki, która ceniła elegancję, przynajmniej dopóki całej uwagi nie skierowała na narkotyki i ich pozyskiwanie. Nieoczekiwanie odezwało się we mnie współczucie dla łony.

- Pewnie masz obolałe nogi - rzekłam, ale nie słuchała.

- O, idą dziewczynki - powiedziała, nim rozpoznałam znajome odgłosy kroków przed garażem. Siostry wpadły do domu, rzucając plecaki pod wieszak, i zatrzymały się, żeby ustawić pod nim zdjęte buty. Ciekawe, ile ciotce zajęło wypracowanie w nich tego nawyku.

W następnej chwili pochłonęło mnie przyglądanie się dziewczynkom. Za każdym razem, kiedy je widziałam, wydawały się inne. Potrzebowałam chwili, aby zarejestrować te zmiany. Gracie jest ponad trzy lata młodsza od dwunastoletniej Marielli.

Zaskoczył je nasz widok, ale nie jakoś wybitnie. Nie miałam pojęcia, czy ciotka uprzedziła je o naszym przyjeździe. Dziewczynki objęły nas obowiązkowo, ale bez entuzjazmu. Trudno się było dziwić temu dystansowi, skoro łona poświęcała tyle energii, aby przekonać je o tym, że jesteśmy im zbędni, o ile nie po prostu źli. Ponieważ siostry nie pamiętały Cameron, pewnie też inne wspomnienia wspólnego mieszkania w przyczepie zbladły lub zatarły się całkowicie.

Miałam taką nadzieję, dla ich dobra.

Mariella zaczynała przypominać bardziej dziewczynę niż worek mąki. Miała brązowe włosy i oczy, zaś kwadratową sylwetkę odziedziczyła po ojcu.

Gracie zawsze była trochę za mała jak na swój wiek i bardziej humorzasta od siostry. Pocałowała mnie z własnej woli, co zdarzyło się po raz pierwszy.

Ciężko nam szło przełamywanie lodów z naszymi siostrami. Odbudowa i tak wątych więzi z przeszłości to żmudna praca. Usiadły przy stole z nami i kobietą, która była dla nich matką, odpowiadały na pytania i grzecznie ucieszyły się z prezentów.

Staraliśmy się zachęcić je do czytania, przynosząc im książki - artykuł nieobecny wcześniej w domu Gorhamów. Ale oprócz tego dostawały od nas ozdoby do włosów, jakieś świecidełka lub inne dziewczynskie drobiazgi. Trudno było mi nie rozpromienić się jak słońce, kiedy Mariella wykrzyknęła szczerze:

- Och, czytałam już dwie książki tej autorki! Dziękuję!

Miło było patrzeć na jej radość.

Gracie milczała, ale uśmiechała się do nas. To bardzo znaczące, bo nie była skora do uśmiechów. Różniła się od siostry, ale tak samo mnie i Cameron nie łączyło szczególne podobieństwo fizjonomii. Gracie przypominała skrzata. Miała zielonkawe oczy, długie, cienkie, jasne włosy, zadarty nosek i małe kształtne usta.

Pewnie nie znam się za bardzo na dzieciach, ale choć to może brzmieć nieładnie, darzyłam Gracie większym zainteresowaniem. Z tego, co wiem, nawet matki w sekrecie faworyzują niektóre dzieci. Na pewno tego po sobie nie pokazywałam. Zawsze czekałam na jakąś żywszą reakcję ze strony Marielli i naprawdę uradował mnie jej zachwyt nad książką.

Jeśli Mariella okaże się zapaloną czytelniczką, łatwiej będzie mi znaleźć z nią wspólny język.

Gracie miała kłopoty ze zdrowiem, podobnie jak ja. Dzieliłyśmy słabość fizyczną, u której podstaw w moim przypadku leżało porażenie piorunem. Gracie z kolei cierpiała na dolegliwości dróg oddechowych.

- Czy jesteś złą kobietą, ciociu Harper? - wyrwała się Gracie ni stąd, ni zowąd.

Zwracanie się do mnie per „ciociu” było pomysłem Iony, która uznała, że jest między nami zbyt duża różnica wieku, by mówić sobie po imieniu. Ale nie to mnie ogłuszyło.

- Staram się postępować dobrze - odpowiedziałam, żeby zyskać trochę czasu na zrozumienie możliwych przyczyn tego pytania.

Ionę nagle pochłonęła całkowicie kawa, którą zaczęła mieszać intensywnie i nieustająco. Czułam, jak usta mi drętwieją z gniewu i wysiłku powstrzymania nieemiłego komentarza. Po chwili stało się jasne, że ciotka nie zamierza brać udziału w rozmowie, dlatego podjęłam sama.

- Nigdy nie oszukuję ludzi, dla których pracuję. Wierzę w Boga. - Choć zapewne nie tego samego, którego czciła Iona. - Ciężko pracuję, płacę podatki. Robię, co w mojej mocy, aby być dobrym człowiekiem. - To wszystko było prawdą.

- Bo jeśli bierze się pieniądze za coś, czego nie może się zrobić, to źle, prawda? - drążyła Gracie.

- Oczywiście - przejął pałeczkę Tolliver. - To się nazywa oszustwo. A czegoś takiego Harper nigdy by nie zrobiła. - Jego ciemne oczy świdrowały Ionę. Gracie także przeniosła spojrzenie na przybraną matkę. Byłam pewna, że widzą dwie różne osoby.

Iona nadal nie podnosiła wzroku znad kubka, pracowicie kręcąc w nim cholerną łyżeczką. Wchodząc w tym momencie do domu, Hank popisał się idealnym wyczuciem czasu. Mąż Iony, potężny mężczyzna o rumianej twarzy i rzednących, jasnych włosach, był za młodu bardzo przystojny, a i teraz, do-biegając czterdziestki, przyciągał wzrok. Nawet nie przytył za bardzo od ślubu.

- Harper, Tolliver! Jak miło was widzieć! Szkoda, że wpadacie tak rzadko.

Kłamca.

Ucałował Gracie w czubek głowy i pogładził Mariellę po policzku.

- Cześć, smyki - zwrócił się do nich. - Jak tam dzisiejsze dyktando, Mariello?

- Cześć, tata! - uśmiechnęła się zapytana. - Dostałam osiem punktów na dziesięć.

- Mądra dziewczynka - pochwalił ją Hank, nalewając sobie coli z dwulitrowej butelki. Dorzucił do szklanki lodu i rozłożył dodatkowe krzesło, które stało oparte przy lodówce. - Jak ci poszło na chórze, Gracie?

- Fajnie. Wszyscy dobrze śpiewali - odparła dziewczynka, z wyraźną ulgą wracając na znany grunt tematyczny.

Jeśli Hank, wchodząc, wyczuł zwarzoną atmosferę, nie dał tego po sobie poznać.

- A jak tam u was? - zwrócił się do mnie. - Znalazłaś ostatnio jakieś fajne zwłoki? - Hank zawsze mówił o naszej pracy, jakby to był niezły żart.

Uśmiechnęłam się z przymusem.

- Niejedne - odparłam. Najwyraźniej nie czytywał gazet i nie oglądał wiadomości. Przez ostatni miesiąc wspomniano o mnie częściej, niżbym sobie życzyła.

- Gdzie bywaliście? - Życie na walizkach, jakie prowadziliśmy, uznawał Hank za równie zabawne jak rodzaj zleceń. Sam poza Teksasem był tylko podczas służby wojskowej i to doświadczenie należało do jego jedynych w kategorii podróżowania.

- Byliśmy w górach, w Północnej Karolinie - rzekł Tolliver. Spojrzał na wujostwo, sprawdzając, czy podchwycą aluzję do naszego ostatniego, najgłośniejszego zlecenia.

Nic z tego.

- Po drodze zboczyliśmy też do Clear Greek, a stamtąd przyjechaliśmy już tu, do Garland, żeby się z wami zobaczyć.

-Jakieś wielkie odkrycia, że tak powiem, grobowe? - Znów uśmieszek.

- Nie, ale inne wielkie nowiny owszem. - Dowcipkowanie Hanka wreszcie zirytowało Tolliyera. Zawsze tak to się kończyło. Zawsze. Spojrzałam na Tolliyera, który wpatrywał się intensywnie w Hanka.

Oho, pomyślałam.

-Znalazłeś sobie dziewczynę! Zamierzasz się ustatkować! - wykrzyknął Hank jowialnie. Tolliyerowe kawalerstwo było kolejnym ulubionym tematem żarcików wujostwa.

- Owszem - oświadczył Tolliver, a ja na widok uśmiechu na jego twarzy aż zamknęłam oczy. Był promienny i pewny.

- Słyszałyście, dziewczynki? Wujek Tolliver znalazł sobie narzeczoną. Co to za szczęściara, Tolku?

Tolliver nie znoślił, jak ktoś zdrabniał w ten sposób jego imię.

- Harper - oznajmił i ujął moją dłoń. Zamarliśmy, czekając na reakcję.

-Twoja... - Iona o mało co nie powiedziała „siostra”, jednak w ostatniej chwili ugryzła się w język. -Ale... Jak to? Wy razem? - Spoglądała to na mnie, to na Tolliyera. - To niewłaściwie - zaczęła z wahaniem. - Przecież jesteście...

- Niespokrewnieni - dokończyłam za nią z pogodnym uśmiechem.

Dziewczynki patrzyły na nas, dorosłych, nic nie rozumiejąc.

-Jesteś moją siostrą - odezwała się Mariella naraz.

- Tak - przyznałam łagodnie.

- A Tolliyer bratem - ciągnęła pewnie.

- To prawda. Ale my nie jesteśmy rodzeństwem ani w ogóle krewnymi. Rozumiesz? Ja mam innych rodziców, a Tolliyer innych.

- To znaczy, że się pobierzecie? - zapytała Gracie, nadal zdumiona, ale i ucieszona.

Tolliyer spojrział na mnie, uśmiechając się lekko

- Taką mam nadzieję.

- Super! Mogę być na weselu? - trajkotała Mariella. - Moja przyjaciółka, Brianna, była na weselu siostry. Mogę założyć długą sukienkę? Mogę upiąć włosy? Mama Brianny pozwoliła jej użyć szminki.

Pożyczysz mi szminkę, mamó?

-Ale, Mariello, być może nie będziemy mieć wielkiego wesela - powściągałam jej entuzjazm, mogąc wręcz zagwarantować, że takiego nie będzie. -Niewykluczone, że pójdziemy tylko do urzędu. Pewnie nawet nie weźmiemy ślubu w kościele i nie będę miała długiej, białej sukni.

- Ale bez względu na rodzaj uroczystości jesteście zaproszone i możecie założyć, cokolwiek zechcecie - zapewnił dziewczynki Tolliver.

- Na litość boską! - wtrąciła Iona, nie ukrywając zdegustowania. - Po co w ogóle jakiś ślub? A jeśli jest jakiś powód, uchowaj Boże, Mariella i Gracie na pewno nie będą w tym uczestniczyły!

- A czemu nie? - zapytał Tolliver głosem, w którym drgały niebezpieczne nuty. - Są naszą rodziną.

- To po prostu niewłaściwie - zawyrokował Hank z surową miną, podkreślając jeszcze ostateczny werdykt na temat naszego związku. - Wychowaliście się razem. To zbyt bliskie więzi, żeby je ignorować.

- Nie łączy nas pokrewieństwo - powtórzyłam. - Możemy się pobrać i zrobimy to. - W tej chwili uświadomiłam sobie, że wbrew postanowieniu dałam się wciągnąć w sprzeczkę. Tolliver uśmiechał się do mnie szeroko. Przymknęłam oczy.

Wychodziło na to, że Tolliver przed chwilą poprosił mnie o rękę, a ja przyjąłam jego oświadczenia.

- No cóż... - Iona wydeła usta w typowy, lonowaty sposób. - My także mamy wieści.

- Tak? A cóż to za nowiny? - wykrzesalam z siebie zainteresowanie. Bardzo chciałam rozproszyć jakoś tę paskudną atmosferę, która sprawiała przykrość dziewczynkom. Uśmiechnęłam się do ciotki, żeby okazać gotowość do słuchania.

- Hank i ja będziemy mieli dziecko – ogłosiła Iona. - Dziewczynki będą miały siostrzyczkę lub braciszka.

Po krótkiej chwili intensywnych zmagani zamiast cisnącego się na usta „Po tylu latach?!” udało mi się wydukać:

- Och, to fantastycznie. Pewnie jesteście podekscytowane? - zwróciłam się do sióstr.

Tolliver uściśnił mi mocno rękę pod stołem. Ni-gdy nie braliśmy pod uwagę, że Iona i Hank mogą mieć własne dzieci i szczerze mówiąc, nawet nie zastanawiałam się, dlaczego dotychczas ich nie mieli. W zasadzie postrzegałam tych dwoje jedynie w kategoriach irytującej przeszkody stojącej na drodze naszych kontaktów z dziewczynkami. Mimo wszystko radzili sobie świetnie z codzienną opieką nad Mariella i Gracie, a to nie przelewki.

Pojęłam to wszystko w nagłym przebiegu i zrozumiałam, że nie możemy teraz wprowadzać zamieszania w stosunki pomiędzy wujostwem i dziewczynkami. Na twarzy Marielli dostrzegłam niepewność. Ani ona, ani Gracie nie potrzebowały teraz dodatkowych problemów. Obie starały się cieszyć z perspektywy powiększenia się rodziny, ale były wytrącone z równowagi. Współczułam im.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego wieczoru właśnie wpisaliśmy się na listę oczekujących na stolik w Texas Roadhouse, kiedy przyszedł Mark. Po Marku i Tolliverze od razu widać, że są braćmi, obaj mają takie same kości policzkowe, podbródki i oczy, Mark jest niższy, bardziej krępy i (tę opinię zatrzymuję zawsze dla siebie) ani w połowie tak bystry jak Tolliver.

Jednak mam wiele wspaniałych wspomnień do-tyczących Marka, zawsze bardzo go lubiłam. Robił, co w jego mocy, by chronić nas przed rodzicami. Nie żeby świadomie chcieli wyrządzić nam jakąś krzywdę... ale byli narkomanami. A uzależnieni zapominają, że są rodzicami, zapominają, że są małżeństwem. Są przede wszystkim narkomanami.

Mark, jako starszy, cierpiał jeszcze bardziej niż Tolliver, ponieważ większą część dzieciństwa miał normalnego ojca. Pamiętał wspólne wyprawy na ryby, na polowania, pamiętał, jak ojciec chodził na wywiadówki, kibicował mu podczas meczów i pomagał w lekcjach. Tolliver powiedział mi, że też ma część tych wspomnień, jednak bładły one podczas lat mieszkania w przyczepie, aż wreszcie cierpienie zdławiło iskrę, która je ożywiała.

Mark niedawno został kierownikiem w JCPenney. Musiał przyjść prosto z pracy, bo miał na sobie marynarskie spodnie oraz koszulę w paski z przypiętą do piersi plaketką z imieniem. Gdy dostrzegłam go wchodzącego do restauracji, miał zmęczoną twarz, ale rozpromienił się na nasz widok. Mark nosił teraz bardzo krótkie włosy i gładko się golił, a schludność ta przydawała mu powagi i autorytetu.

Bracia odprawili rytuał męskiego powitania z poklepywaniem się po plecach i kilkakrotnym powtarzaniem: „Jak się masz, chłopie”. Przeznaczony dla mnie uścisk był na szczęście mniej wylewny. Nie zdążyliśmy zamienić nawet słowa, kiedy zabrzączał dzwonek ogłaszający zwolnienie naszego stolika. Siedząc już na miejscu, z menu w dłoni, zapytałam Marka, jak mu idzie w pracy.

- Tegoroczne święta nie były szczególnie udane -odrzekł poważnie.

Zauważyłam, jakie ma białe, równe zęby, i po-czułam przykrość ze względu na Tollivera. W przeciwieństwie do niego, Mark zdążył w odpowiednim czasie otrzymać standardową dla Amerykanów klasy średniej opiekę dentystyczną i ortodontyczną. Kiedy Tolliver był we właściwym wieku, aby mieć założony aparat i chodzić do dermatologa, staczający się rodzice już o to nie dbali. Odsunęłam od siebie nieusprawiedliwioną urazę. Mark po prostu miał szczęście i tyle.

- Sprzedaż nie była tak wysoka jak zwykle i wiosną trzeba będzie ciągnąć w górę - kontynuował Mark.

- A co się stało, że tak kiepsko poszło? – zapytał Tolliver, udając, że obchodzi go, dlaczego sklep nie przynosi odpowiednich dochodów.

Mark paplał o sklepie, swoich obowiązkach, a ja starałam się okazać zainteresowanie. Teraz miał lepszą posadę niż wcześniej, na stanowisku kierownika restauracji, przynajmniej jeśli chodzi o godziny pracy. Zapisał się do dwuletniej, wieczorowej szkoły pomaturalnej i skończył ją, uzyskując dyplom. Podzi-wiałam jego samozaparcie. Ani ja, ani Tolliver nie osiągnęliśmy takiego poziomu wykształcenia.

Udawałam, że słucham Marka, ale tak naprawdę myślami błądziłam gdzie indziej. Wspominałam dzień, w którym Mark znokautował jednego ze znajomków mamy, trzydziestoletniego faceta, który ostro przystawiał się do Cameron. Mark bez wahania stanął w obronie mojej siostry, mimo iż nie wiedział, czy natręt nie jest uzbrojony - a wielu gości rodziców nosiło przecież broń. Wspomnienie to ułatwiało mi przybranie miny szczerego zaangażowania w opowieść Marka.

Tolliver zadawał sensowne pytania. Może był zainteresowany tematem bardziej, niż mi się wydawało. Po raz setny zaczęłam się zastanawiać, czy Tolliver wolałby wieść stateczne, uregulowane życie zamiast takiego, jakie było naszym udziałem.

Doszłam do wniosku, że po wczorajszym dniu stłumił wiele swoich obaw. Od wujostwa wyszliśmy przygnębieni. Oboje byliśmy ogłuszeni wieściami. Bardzo staraliśmy się gratulować Itonie i Hankowi z odpowiednim entuzjazmem, ale miałam wrażenie, że nie brzmiało to wystarczająco przekonująco. Byliśmy wstrząśnięci ich reakcją na nasz związek i trudno przyszło nam wykrzesać z siebie radosną ekscytację ich szczęściem, skoro oni potraktowali nas w ten sposób.

Oczywiście dziewczynki wyczuły atmosferę nerwowości i gniewu. W ciągu zaledwie chwili zadowolenie naszą wizytą stopniało. Najpierw zaskoczone i skonfundowane, w końcu z niechęcią chłonęły wiszące w powietrzu negatywne emocje. Hank w pewnym momencie opuścił nas i udał się do swojego „gabineciku”, skąd zadzwonił do pastora, aby skonsultować z tym obcym człowiekiem kwestię naszego związku. Myślałam, że ze złości pęknie mi jakaś żyłka. Kiedy Tolliver, którego Hank zabrał ze sobą, wszedł do kuchni, na jego obliczu malowało się jednocześnie oburzenie i rozbawienie.

Od opuszczenia domu wujostwa nie rozmawialiśmy na temat ślubu, który zresztą wyskoczył jak diabeł z pudełka.

Dziwne, ale milczenie o tym nie było niezręczne. Poszliśmy na siłownię, pobiegaliśmy na bieżniach, a potem obejrzelśmy razem odcinek „Prawa i porządku”. Czuliśmy się dobrze we własnym towarzystwie, z ulgą przyjęliśmy, że nareszcie jesteśmy sami. Podczas ćwiczeń na bieżni uświadomiłam sobie, że po każdej wizycie u sióstr jesteśmy emocjonalnie wyżęci. Wystarczył krótki pobyt w tym dusznym domu, abyśmy czuli potrzebę ucieczki, swobodnego odetchnięcia i orzeźwienia.

Zamartwiałam się nieprzyjemnymi stosunkami z ciotką, dopóki nie zrozumiałam, że tak naprawdę liczy się dla mnie tylko to, co jest pomiędzy mną a Tolliverem. No, oczywiście oprócz tego zależało mi także na budowaniu pozytywnych relacji z siostrami.

Mimo to wczorajszego wieczoru nadchodziły momenty, gdy ogarniały mnie niemiłe myśli o nowej sytuacji w rodzinie wujostwa. Wiem, to może naiwne, ale wzdrygałam się za każdym razem na wspomnienie o ciąży Iony.

Przeżyłam dwie ciąży matki i nadal zdumiewało mnie, jakim cudem, biorąc pod uwagę jej tak zaawansowane uzależnienie, Gracie urodziła się w ogóle żywa, a w dodatku bez poważnych problemów umysłowych czy neurologicznych. Przy Marielli mama miała jeszcze na tyle silnej woli, by się powstrzymać od brania, ale przy Gracie... Gracie urodziła się słaba i sporo chorowała w ciągu pierwszych kilku lat życia.

Takie myśli pochłaniały mnie podczas ćwiczenia na bieżni. Później, kiedy musiałam sobie zrobić przerwę, zabrałam się za odkurzanie samochodu. Wzięłam ze sobą też torbę na śmieci. Kiedy spędza się tyle czasu w samochodzie, strasznie szybko robi się w nim bałagan. Wrzucając do torby puste kubki i stare paragony, odkurzając każdy zakamarek bagażnika, wciąż martwiłam się o lonę. Z tego, co wiedziałam, była całkiem zdrowa^ nigdy też nie piła i nie brała narkotyków. Jednak w tym wieku pierwsza ciąża zawsze wiąże się z pewnym zagrożeniem.

Podczas gdy część umysłu angażowałam w przypominanie sobie, czy gdzieś nieopodal widziałam stację wymiany oleju, drugą pracowałam intensywnie, próbując ukoić własne lęki. Powtarzałam sobie, że przecież obecnie wiele kobiet zwleka długo z decyzją o założeniu rodziny. Wcześniej pragnę zyskać bezpieczeństwo finansowe albo utrwalić związek na tyle, by stanowił dobre podwaliny dla pojawienia się dziecka. Problem w tym, że dobrze wiedziałam, z jak ogromnym wysiłkiem wiąże się opieka nad niemowlęciem. Może łona będzie mogła rzucić pracę.

Markując zainteresowanie rozmową braci, sęczyłam napój, który przyniosła mi kelnerka, i jeszcze raz odtwarzałam w myślach przebieg spotkania w kuchni lony. Coś nie dawało mi spokoju, coś, co umknęło mi w eksplozji rodzinnych rewelacji.

Podczas męskiej dyskusji zgłębiającej tajniki sprzedaży detalicznej wróciłam myślami do poprzedniego popołudnia, mentalnie przyglądając się każdej z osób zgromadzonych przy kuchennym stole. Następnie przywołałam obraz blatu i przedmiotów na nim leżących. Wreszcie namierzyłam źródło niepokoju. Oczekiałam, aż bracia dokończą wątki i zapadnie chwilowe milczenie, po czym opłotkami skierowałam rozmowę na interesującą mnie kwestię.

- Często widzisz się z dziewczynkami, Mark? -zapytałam.

- Nie - odparł, pochylając głowę w poczuciu winy. - To dość daleko ode mnie, a zwykle pracuję do późna. Poza tym łona zawsze wzbudza we mnie wyrzuty sumienia z jakiegoś powodu. - Wzruszył ramionami. - Prawdę mówiąc, same dziewczynki też szczególnie ani mnie nie znają, ani nie darzą wielkim uczuciem.

Mark wyprowadził się z przyczepy natychmiast, jak tylko był w stanie sam się utrzymać. Zgodziliśmy się, że tak będzie najlepiej dla wszystkich. Wpadał co jakiś czas, kiedy rodziców nie było lub leżeli nieprzytomni, i dostarczał nam zapasy jedzenia. Jednak to oznaczało, że nie

przebywał z nami stale, gdy dziewczynki były małe i nie miał okazji nawiązać z nimi kontaktu. Siostrami zajmowaliśmy się głównie ja, Cameron i Tolliver. Czasami, gdy budziły mnie złe wspomnienia, nie mogłam zasnąć przerażona tym, co mogłoby się stać z dziewczynkami, gdyby nas przy nich nie było. Na szczęście wtedy były za małe, by przejmować się naszą sytuacją i dobrze, bo żadne dziecko nie powinno się troszczyć o coś takiego.

- Nie rozmawiałeś więc ostatnio z Iona? - Musiałam się skupić na tu i teraz.
- Nie, a co? - Mark spojrzał na mnie pytająco.
- Wiesz, że twój ojciec się do niej odezwał? -

W końcu skojarzyłam charakter pisma na wystającym z koperty liście. Należał do mojego ojczyma. Mark byłby fatalnym pokerzystą. Na jego twarzy odbiło się straszne zakłopotanie. Nie mogłam się nie uśmiechnąć na widok ulgi, którą poczuł, kiedy kelnerka podeszła zebrać nasze zamówienia.

Ale uśmiech nie na długo gościł na moich ustach. Bałam się zerknąć na Tollivera.

Kiedy kelnerka odeszła, uczyniłam ręką gest zachęcający Marka do wyjaśnień.

- Hm, no tak, miałem wam o tym powiedzieć - rzekł, wbijając wzrok w sztucce.
- A kiedyż to zamierzałeś nam o tym powiedzieć, braciszku? - zapytał Tolliver z wymuszonym spokojem.
- Dostałem list od taty, jakieś dwa tygodnie temu - powiedział Mark. Nie, nie powiedział, wyznał, jak na spowiedzi. I czekał, aż Tolliver da mu rozgrzeszenie. Czego ten nie zamierzał robić. Oboje byliśmy pewni, że Mark odpisał, inaczej nie byłby tak skruszony.
- A więc ojciec żyje - stwierdził Tolliver i tylko mnie nie zwiódła pozorna neutralność w jego głosie.
- Tak, ma pracę. Jest czysty i trzeźwy, Tol.

Mark zawsze miał miękkie serce, jeśli chodzi o ojca. I zawsze wykazywał się w stosunku do niego straszną naiwnością.

- Kiedy Matthew wyszedł? - zapytałam, bo Tolliver najwyraźniej nie zamierzał reagować na nowiny Marka. Nigdy nie byłam w stanie nazywać Matthew Langa ojcem.
- Urn, jakiś miesiąc temu. - Mark nerwowo zrolował papierową opaskę spinającą sztucce i serwetkę.

Rozwinął ją i złożył ponownie, tym razem w formę kwadracika. - Wypuścili go za dobre sprawowanie. Po tym, jak mu odpisałem, zadzwonił. Mówił, że chce odnowić kontakty z rodziną.

Nawet przez chwilę nie wątpiłam, że przy okazji mimochodem wspomniał też o chceniu pieniędzy, a także miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać. Ciekawe, czy Mark jest na tyle głupi, że mu uwierzył.

Tolliver milczał jak głaz.

- Kontaktował się z waszym wujkiem Paulem albo ciotką Miriam? - zapytałam, chcąc wypełnić przedłużające się chwile ciszy.

- Nie wiem. - Mark wzruszył ramionami. - Nie rozmawiałem z nimi.

W rzeczywistości nie byliśmy z Tolliverem i Markiem jedynymi dorosłymi członkami rodziny, ale to nie robiło absolutnie żadnej różnicy. Rodzeństwo Matthew Langa tylekroć zostało skrzywdzone przez brata i darzyło go taką odrazą, że całkiem się od niego odcięło. Niestety, zerwanie kontaktów dotyczyło także bratanków. Tolliver i Mark mogli zyskać z ich strony wiele wsparcia, naprawdę bardzo wiele, jednak pomoc dzieciom wiązała się ze stycznością z Matthew, który nie był w stanie działać ani myśleć sensownie i przerażał swoje spokojne rodzeństwo. W rezultacie Tolliver posiadał kuzynostwo, którego niemal nie znał.

Nie wiedziałam do końca, jaki ma stosunek do rejterady ciotki i wuja, ale fakt faktem, że nigdy nie próbował się z nimi skontaktować, nawet gdy ojciec siedział za kratkami. Chyba to mówiło samo za siebie.

- Co teraz porabia ojciec? - zapytał Tolliver ze złowrogim spokojem, ale panując jeszcze nad sobą.

- Pracuje w McDonalddie. W okienku dla kierowców. Albo na kuchni. Nie pamiętam.

Matthew Lang z pewnością nie był ani pierwszym, ani jedynym prawnikiem pozbawionym uprawnień, który wydawał hamburgery. Ale biorąc pod uwagę, że przez całe wspólne życie w przyczepie ani razu nie widziałam, żeby cokolwiek gotował -co najwyżej odgrzał coś kilka razy w mikrofalówce - czy też zmył choć jedno naczynie, jego obecne zajęcie zakrawało na farsę. Jednak nie na tyle zabawną, by wybuchnąć śmiechem.

- A co z twoim ojcem, Harper? - zapytał Mark. - Cliff, tak miał na imię, prawda? - Mark najwyraźniej uznał, że należy zaznaczyć, iż nie tylko Matthew był tu złym ojcem.

- Z tego, co wiem, ostatnio leżał w więziennym szpitalu. Ale nikt nie ma z nim żadnego kontaktu. - Wzruszyłam ramionami.

Mark wybałuszył oczy i machinalnie przesunął rękoma po blacie.

-Jak to, nie odwiedzasz go? - Wydawał się szczerze zdumiony moją bezwzględnością, co z kolei ja uznałam za rzecz zadziwiającą.

- Co? A niby z jakiej racji? On nigdy się o mnie nie troszczył, więc ja nie zamierzam troszczyć się o niego.

- A zanim zaczaś brać? Nie zapewniał ci domu, godnego życia?

Zrozumiałam, że nie chodzi tu wcale o mojego ojca, ale to nie umniejszyło mojej irytacji.

- Owszem. On i matka stworzyli nam dobry dom.

Ale kiedy zaczęli brać, przestałyśmy się dla nich liczyć.

Wiele dzieciaków było w gorszej sytuacji. Nie miały nawet starej przyczepy z łazienką o dziurawej podłodze. Nie miały rodzeństwa, które okazywałoby im wsparcie. Ale to i tak był dla nas koszmar. A potem, kiedy matka i ojciec Tollivera zaczęli sprowadzać swoich znajomych, zrobiło się jeszcze okropniej. Pamiętam, jak spędziliśmy noc, leżąc pod przyczepą, bo baliśmy się tego, co działo się w środku.

Wzdrygnęłam się. Żadnej litości.

- Skąd w ogóle wiedziałaś o tacie? – burknął Mark. Należał do osób, z których czytało się jak z otwartej księgi. I nie ulegało wątpliwości, że nie lubił mnie w tej chwili.

- Zauważyłam list na stole u lony. Nie od razu się zorientowałam, ale w końcu rozpoznałam jego pismo. Ciekawe, czemu w ogóle do niej pisał? Myślisz, że usiłuje przekonać lonę, żeby pozwoliła mu się zobaczyć z dziewczynkami? Nie bardzo rozumiem po co.

- Może chce się spotkać ze SWOIMI córkami - rzekł Mark, zarumieniony ze złości.

Oboje z Tolliverem spojrzeliśmy na niego bez słowa.

- No dobra, dobra - westchnął Mark, pocierając

twarz. - Macie rację, nie zasłużył, by się z nimi widzieć. Nie mam pojęcia, o co prosił lonę. Spotkałem się z nim, mówił, że chce się zobaczyć z Tolliverem. Nie ma do niego adresu, więc nie może napisać.

- Nie bez powodu nie ma adresu - zauważył Tolliver.

- Znalazł stronę, gdzie ludzie dają na nią namiary. - Mark wskazał mnie brodą, jakbym siedziała po drugiej stronie sali. - Mówił, że ma adres mejlowy, ale nie chce się kontaktować z tobą przez jej stronę. Jakby był kimś obcym.

Kelnerka przyniosła zamówione dania, wykorzystaliśmy więc rytualne rozkładanie serwetek i doprawianie potraw, aby zyskać nieco czasu na ochłonięcie.

- Mark - zaczy w końcu Tolliver - czy twoim zdaniem jest jakiś powód, dla którego powinienem wpuścić tego człowieka do mojego życia? Do życia Harper?

- To nasz tata - upierał się Mark. - Jest naszą jedyną rodziną.

- Nieprawda - zaprzeczył Tolliver. - Rodziną jest Harper i jest tutaj, z nami.

- Ale ona nie jest NASZĄ rodziną. - Mark rzucił mi przepraszające spojrzenie.

- Jest MOJĄ rodziną - oświadczył Tolliver z mocą. Mark zamarł.

- Chcesz powiedzieć, że nie powinienem był was zostawiać w tej przyczepie? Że powinienem był z wami zostać? Że cię zawiodłem?

- Ależ skąd! - zaprzeczył Tolliver, zaskoczony. Wymieniliśmy szybkie spojrzenia. - Mówię tylko, że jesteśmy z Harper razem.

- Ona jest twoją siostrą przyrodnią.

- I moją dziewczyną - oświadczył Tolliver, a ja uśmiechnęłam się do sałatki. Określenie wydawało się bardzo nieadekwatne.

Mark przez chwilę gapił się na nas z otwartymi ustami.

- Co? To legalne? Kiedy to się stało? - zasypał nas pytaniami, kiedy odzyskał mowę.

- Niedawno, tak, całkiem, jesteśmy bardzo szczęśliwi, dzięki za gratulacje.

- Och, oczywiście, bardzo się cieszę - klepał Mark. - Dobrze, że macie siebie. - Jednak nie wyglądał na przekonanego. - Ale to trochę dziwne, nie? W końcu mieszkaliście razem, wychowywaliście się w jednym domu.

- Podobnie jak ty i Cameron - przypominałam.

- Ale ja nigdy nie traktowałem Cameron w ten sposób - zaprzeczył.

- No dobrze - ustąpiłam. - Ale między nami jest inaczej. Nie było tak od początku, ale właśnie do tego doprowadziło. - Uśmiechnęłam się do Tollivera, przepełniona naraz ogromnym szczęściem. Odpowiedział uśmiechem. Krąg się zamknął.

- To co mam powiedzieć tacie? - drążył Mark z nutką desperacji w głosie. Nie wiem, jak wyobrażał sobie tę rozmowę, ale na pewno nie poszła po jego myśli.

- Chyba wyraziłem się jasno? Nie zamierzamy się z nim widywać - odparł Tolliver. - Nie chcę, żeby się ze mną kontaktował. Jeśli napisze na mejla, nie odpowiemy. Ten ostatni rok... Miałeś szczęście, że byłeś na tyle dorosły, by iść na swoje. Naprawdę się cieszę, że mogłeś stamtąd odejść, Mark. Nigdy nie mieliśmy pretensji, że to zrobiłeś, uwierz. Nawet gdybyś

został, nie zdołałbyś zapobiec temu, co się stało. Poza tym dbałeś o nas, przynosiłeś jedzenie, pieniądze, pomagałeś nam przetrwać. Dobrze, że choć jedno z nas miało normalniejsze życie. Nie zdołalibyśmy się utrzymać tylko z mojej pracy w Taco Bell.

-I naprawdę nie myślicie, że po prostu uciekłem? - upewnił się Mark, skupiając się intensywnie na krojeniu steku.

- Nie, uważam, że zrobiłeś to, by ratować siebie i dobrze zrobiłeś - zapewnił go Tolliver poważnie, odłożywszy widelec. - Naprawdę tak myślę. Harper również.

Kiwnęłam głową, choć nie sądziłam, żeby Mark potrzebował mojego zapewnienia. W rzeczywistości nigdy nie przeszło mi przez głowę, że mogłabym uważać inaczej.

Mark próbował się zaśmiać, ale próba ta wyszła dość żałośnie.

- Nie chciałem, żeby nasza rozmowa przybrała taki obrót - powiedział.

- Nie twoja wina. To przez pojawienie się twojego ojca - próbowałam go rozchmurzyć.

Z marnym efektem.

- Naprawdę ani razu nie odwiedziłaś swojego ojca? - Potrząsnął głową. Nie mógł pogodzić się z moim nastawieniem.

- Nie, czemu miałabym kłamać?

- Na co choruje?

- Nie mam pojęcia.

- Wie o śmierci twojej matki?

- Nie wiem.

- A o Cameron?

- Tak - odparłam po namyśle. - Reporterzy go znaleźli i zrobili z nim wywiad, kiedy zaginęła.

-I nigdy nie próbował się zobaczyć...

- Nie. Siedział w więzieniu. Napisał kilka listów.

Moi rodzice zastępczy przekazali mi je, ale nie odpisałam. Nie wiem, co się później z nim działo. Nie sądzę, żeby w jego życiu zaszły jakieś zmiany. Potem listy przestały przychodzić, nie miałam o nim żadnych wieści. Dopiero kiedy zachorował, napisał do mnie więzienny kapelan.

- A ty? Wtedy też nie odpisałaś?

- Nie, nie odpisałam. Mogę skubnąć trochę twoich batatów, Tolliver?

-Jasne - odparł, podsuwając mi swój talerz.

Zawsze je zamawiał, kiedy jedliśmy w Texas Roadhouse, a ja zawsze mu je podjadałam. Przełknęłam kęs. Nie smakował tak dobrze jak zwykle. Pomyślałam jednak, że to nie wina kucharza, a raczej Marka.

Mark potrząsał głową ze wzrokiem wbitym w talerz. Wreszcie podniósł głowę, ale spojrzał na Tollivera.

- Nie wiem, jak wy to robicie - przyznał. - Kiedy ojciec się do mnie odzywa, nie mogę tego zignorować. W końcu to mój TATA. Z mamą byłoby tak samo, gdyby żyła.

- Pewnie nie jesteśmy tak dobrymi ludźmi, jak ty - powiedziałam. Bo co innego mogłam rzec? - „Wykorzysta cię, wyciągnie każdego centa. Złamie dane słowo i ziarnie w tobie ducha”.

-Pewnie nie mieliście żadnych informacji od policji albo tego prywatnego detektywa od naszego ostatniego spotkania? - rzucił Mark.

- Nie odpuszczasz dzisiaj na żadnym froncie, co, Mark? - tym razem musiałam włożyć wiele wysiłku, żeby zabrzmiało to w miarę grzecznie.

-Musiałem zapytać. Ciągle mam nadzieję, że pewnego dnia czegoś się dowiemy.

Odegnałam gniew, bo czasem sama miałam taką nadzieję.

- Nie, nic nowego. Ale pewnego dnia ją znajdę. -Powtarzałam to od lat, ale na razie bezskutecznie. Jednak kiedyś, w najmniej spodziewanym momencie, choć na pewnej płaszczyźnie zawsze tego oczekiwałam, poczuję jej bliskość, tak jak czuję obecność innych zmarłych. Znajdę Cameron i dowiem się, co wydarzyło się tamtego dnia.

Wracała do domu sama, bo po lekcjach dekorowała salę na bal maturalny. W tamtych czasach ja byłam już osobą, która nie udzielała się społecznie. Zostałam porażona piorunem i skupiałam wysiłki na przywyknięciu do nowej siebie, pogodzeniu się ze swym przerażającym darem i powrocie do równowagi psychicznej. Kulałam, łatwo się męczyłam, a tamtego dnia dokuczał mi okropny ból głowy.

Wiosna zafundowała nam wtedy nagłe ochłodzenie. Nocą temperatura spadła do pięciu stopni po-wyżej zera, po południu było niespełna szesnaście. Cameron ubrała się w czarne rajstopy, białą spódniczkę i biały golf. Wyglądała wspaniale. Nikt nie zgadłby, że wygrzebała te rzeczy w lumpeksie. Jej długie, jasne włosy były piękne i lśniące. Cameron miała piegi, których nie cierpiała. Moja siostra da-wała nam siłę. To dzięki niej trzymaliśmy się razem.

Podczas gdy bracia kontynuowali rozmowę, ja starałam się wyobrazić sobie, jak Cameron wyglądałaby teraz. Czy nadal byłaby blondynką? Czy przytyłaby? Zawsze była niższa, drobniejsza ode mnie, miała szczupłe ramiona i niezłomną wolę. Biegała i miała na tym polu pewne osiągnięcia, ale kiedy gazety nazywały ją po zaginięciu „królową bieźni”, zgodnie wywracaliśmy oczyma.

Cameron nie była święta. Znałam ją lepiej niż ktokolwiek inny. Dumna, bystra, potrafiła utrzymać sekret za wszelką cenę. W szkole ciężko pracowała. Czasem nasz upadek, obniżenie stopy życiowej wzbudzały w niej taki gniew, że aż krzyczała z wściekłości. Cameron nienawidziła naszej matki Laurel z ogromną pasją za to, że ta pociągnęła nas za sobą na dno, ale jednocześnie też kochała.

Nie znosiła Matthew, jej drugiego męża, a za-razem setnego partnera. W głębi duszy nie prze-stawała się łudzić, że ojciec wyjdzie z nałogu, będzie znowu taki jak przedtem i pewnego dnia stanie w progu obskurnej przyczepy, by nas stamtąd zabrać. Że znów będziemy mieszkać w normalnym domu, gdzie ktoś inny będzie prał nasze ubrania i gotował dla nas posiłki. Że ojciec znów będzie chodził na zebrania komitetu rodzicielskiego i podczas kolacji omawiał z nami plany wyboru uczelni.

Cameron pielęgnowała te szczęśliwe fantazje. Ale wyobrażenia podsuwała jej także mroczne obrazy. Pewnego ranka podczas drogi do szkoły zwierzyła mi się, że czasami marzy, by któryś z dilerów rodziców przyszedł podczas naszej nieobecności i zabił matkę oraz ojczyma. Po ich śmierci umieszczono by nas w dobrym domu zastępczym. Wtedy, po ukończeniu szkoły, każda z nas znalazłaby dobrą pracę, wynajęłybyśmy mieszkanie i poszły na studia.

Do tego momentu sięgały wizje Cameron. Zastanawiałam się, czy wyobrażała sobie też nasze późniejsze życie. Czy myślała, że znajdziemy sobie dobrych, zaradnych mężów i będziemy szczęśliwe po kres naszych dni? A może raczej, że będziemy mieszkać wspólnie w naszym skromnym, lecz zadbanym mieszkanku, nosić piękne stroje (nieodłączny element fantazji Cameron) i jeść wykwintne potrawy, które nauczymy się gotować.

- Kochanie? - głos Tollivera wyrwał mnie z rozmyślań. Spojrzałam na niego zaskoczona. Nigdy wcześniej tak się do mnie nie zwrócił. - Masz ochotę na deser?

Zauważyłam stojącą przy naszym stoliku kelnerkę, której przyklejony uśmiech wyraźnie wskazywał, że jest bardzo, bardzo cierpliwa.

Prawie nigdy nie jadam deserów.

- Dziękuję, nie - powiedziałam. Ku mojej irytacji Mark zamówił sobie ciasto, zaś Tolliver kawę do towarzystwa. Miałam ochotę już iść, wyrwać się stąd i z tych wszystkich wspomnień. Z westchnieniem poprawiłam się na krześle, przyjmując wygodniejszą pozycję.

Gdy Tolliver i Mark zagłębili się w dyskusję o komputerach, znów mogłam pogрузić się we własnych myślach.

Ale te krążyły tylko wokół Cameron.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po powrocie do pokoju żadne z nas nie miało ochoty zaczynać rozmowy o Markowym przewrotnym odnowieniu kontaktów z ojcem.

Tolliver odpalił laptopa i wszedł na stronę, gdzie fani śledzili każdy mój krok. Nieustannie monitorował witrynę, obawiając się, że jakiś wariat może mnie zacząć prześladować. Ja omijałam to miejsce szerokim łukiem, ponieważ na forum jest wiele postów od mężczyzn, którzy opisują w nich, co chcieliby ze mną i mnie robić. To straszne, nie mówiąc o tym, że obleśne. Teraz na dodatek martwiłam się, że Matthew czyta to jednocześnie z Tolliverem. Na pewno będzie szukał sposobu, jak odnaleźć syna.

Zmartwienia wpędziły mnie w ból.

Przegrzebałam apteczkę w poszukiwaniu maści końskiej, którą nacierałam nogę. Właśnie prawa noga była miejscem, gdzie najdłużej utrzymywały się efekty porażenia. Zrzuciłam buty, zsunęłam spodnie i usiadłam na łóżku, rozciągając bolące mięśnie i prostując stawy. Moje udo pokrywa pajęczyna czerwonych linii, popękanych naczynek. Ślad pojawił w momencie uderzenia piorunem, kiedy miałam piętnaście lat. Wygląda to paskudnie.

W milczeniu nakładałam maść, mocno rozcie-4C przykurczone mięśnie. Po kilku minutach intensywnego masażu poczułam ulgę. Opadłam na poduszkę, skupiając się na rozluźnianiu poszczególnych partii mięśni. Przymknęłam powieki.

- Wolę szukać ciała pod śniegiem niż rozmawiać z Iona i Hankiem - oświadczyłam. - A czasami z Markiem gada się wcale nie łatwiej.
- Wczoraj, kiedy byliśmy u Iony... - zaczął Tolliver i zawiesił głos. Kiedy podjął, ostrożnie dobierał słowa. - Kiedy poszłaś do łazienki, Hank wziął mnie na bok i zapytał, czy zrobiłem ci dziecko.
- Nie, nie wierzę.
- Ale to prawda. Zapytał. I to całkiem poważnie. Powiedział tak: „Musisz się z nią ożenić, jeśli wpędziłeś ją w kłopoty, chłopcze. Dajeś się złapać, musisz odsiedzieć swoje”.
- Cudowne postrzeganie małżeństwa i ojcostwa.

- Cóż, to facet, który nazywa żonę swoją kulą u nogi - zaśmiał się Tolliver.
- Ze ślubem czy bez, zwisa mi to - palnęłam, nim zdałam sobie sprawę, jak nietaktownie to zabrzmiało. - Znaczy nie, wcale mi nie zwisa - poprawiłam pospiesznie. - To znaczy wiesz, kocham cię i wystarczy mi, że jesteśmy razem. Nie dbam o ślub. Kurczę, też fatalnie wyszło.
- Postąpimy, jak postąpimy, we właściwym czasie - rzekł Tolliver głosem ciężkim od wyraźnej niepewności.

Najwyraźniej chciał tego małżeństwa. Dlaczego w takim razie nie powiedział wprost? Ukryłam twarz w dłoniach. Dziwne uczucie, bo wciąż mrowiły od maści.

Oczywiście, że wyjdę za Tollivera, tym bardziej jeśli dla niego to kwestia być albo nie być naszego związku. Zrobiłabym wszystko, żeby go przy sobie zatrzymać.

Niezbyt romantyczny wniosek. Leżałam, rozmyślając, wsłuchana w klikanie klawiatury laptopa. Umarłabym, gdyby mu się coś stało, pomyślałam. Zastanawiałam się, czy to znaczyłoby wiele dla Tollivera, a ile dla mnie.

Rozległo się pukanie. Zaskoczeni, spojrzeliśmy po sobie. Tolliver potrząsnął głową - nie spodziewał się nikogo. Podszedł do okna i uniósł odrobinę zasłonę.

- To Lizzy Joyce - powiedział, opuszczając ją. - Z siostrą. Katie, tak?
- Uhm. - Byłam tak samo zdumiona jak on. - Co, u diabła?

Wzruszyliśmy ramionami.

Tolliver, uznawszy, że nie są groźne i uzbrojone, wpuścił siostry do środka. Naciągnęłam pospiesznie spodnie i wstałam, aby się z nimi przywitać.

Można by pomyśleć, że nigdy nie widziały motelowego pokoju. Obie omiotły pomieszczenie niemal identycznymi, baczными spojrzeniami. Były do siebie podobne, Katie niższa i młodsza o jakieś dwa lata od siostry. Ale miały ten sam odcień włosów, wąski wykrój brązowych oczu i szczupłą budowę ciała. Obie nosiły dżinsy, wysokie buty oraz kurtki. Lizzy związała włosy w koński ogon na karku, zaś sprężyste kosmyki Katie spływały luźno na ramiona. Ich kolczyki, naszyjniki i pierścionki na oko wyceniłam na małą fortunę. (Po wizycie w sklepie podniosłam wycenę do dużej fortuny).

Katie błyszczącymi oczyma taksowała Tollivera. Entuzjazmu natomiast nie wzbudził w niej nasz dobytek: ubrania, krzyżówki, laptop i buty Tollivera, ustawione równo przy torbie.

- Witam - powiedziałam, starając się nadać głosowi przyjazne brzmienie. - W czym możemy pomóc?

- Chciałabym jeszcze raz usłyszeć, co widziała pani, stojąc na grobie Mariah Parish.

Potrzebowałam sekundy, żeby przypomnieć sobie, o kim mówi.

- Ach, opiekunka waszego ojca. Ta, która zmarła po porodzie. Zakażenie krwi.

-Tak, nie rozumiem, skąd się pani to wzięło. Ona zmarła w wyniku zapalenia wyrostka - rzekła Lizzy. W jej tonie pobrzmiwały nutki niezbyt wy-rażnego wyzwania.

Na litość boską. Nie zamierzałam się o to sprzeczać.

-Jeśli pani chce to tak nazywać, proszę bardzo -zgodziłam się. Nie robiło mi to różnicy.

Mariah Parish nie była w ogóle przedmiotem mojego zlecenia.

- Taka BYŁA przyczyna jej śmierci - upierała się Katie.

- W porządku. - Wzruszyłam ramionami.

- Co to za „w porządku”, do diabła? Tak czy nie?

Siostry nie zamierzały odpuścić.

- Możecie sobie wierzyć, w co chcecie. Ja powiedziałam, na co zmarła.

- Była porządną kobietą, dlaczego miałyby pani zmyślać coś takiego na jej temat?

- Właśnie, też nie widzę powodu, dla którego miałabym zmyślać cokolwiek. I co jest nieprzyzwoitego w urodzeniu dziecka?

- Więc kto był ojcem? - rzuciła Lizzy tak bezpośrednio, jak wcześniej pytała o przyczynę śmierci.

- Nie mam pojęcia.

- W takim razie... - Lizzy pogubiła się i umilkła.

Nie była kobietą nawykłą do gubienia się w czymkolwiek i nie podobało jej się to. - Czemu pani to powiedziała?

Musiałam powstrzymać się, by nie wyrócić oczyma.

- Bo to właśnie zobaczyłam. Przecież nie wymyśliłam sobie sama szukania grobu waszego dziadka. I starałam się uczciwie zarobić na zapłatę – rzekłam z przekąsem - więc chodziłam od grobu do grobu, tak jak oczekiwaliście.

- Wszystko inne, co pani powiedziała, zgadzało się - stwierdziła Katie.

- Wiem. - Czego się spodziewały, mojego zaskoczenia własną nieomylnością?

- To czemu to pani zmyśliła?

Ich upór zaczynał być nudny. Noga bolała mnie coraz bardziej i pragnęłam usiąść, ale jednocześnie nie chciałam, żeby one się rozsiadały, więc w imię przyzwoitości stałam nadal.

- Nie zmyśliłam. Wierzcie sobie czy nie, mam to gdzieś.

- Ale gdzie jest dziecko?

- A skąd niby mam wiedzieć?! - Straciłam cierpliwość.

- Drogie panie - wtrącił się Tolliver w samą porę. - Moja siostra znajduje umarłych. Dziecka nie było w grobie, na którym stała. Albo więc dziecko żyje, albo pochowano je gdzie indziej. Albo też kobieta nie donosiła ciąży.

- Ale jeśli to dziecko dziadka, dziedziczy po nim, tak jak my - oświadczyła Lizzy i nagle jej zdenerwowanie stało się dla mnie zrozumiałe.

Do diabła z nimi. Ułożyłam się na łóżku, wyciągając nogę.

- Proszę, usiądźcie - zaproponowałam. – Może coli albo 7up?

Tolliver przysiadł na materacu, odstępując siostronom krzesła. Moja propozycja skorzystania z na-szych zapasów napojów została przyjęta, a choć Katie zerkała na ekran laptopa, ciekawa, nad czym Tolliver pracował, obie siostry uspokoiły się nieco i przestały być tak napastliwe, co było dla mnie ulgą.

- Nie miałyśmy pojęcia, że Mariah była w ciąży - przyznała Lizzy. - Dlatego tak nami to wstrząsnęło. W ogóle nie wiedzieliśmy, że się z kimś spotyka. Byli blisko z dziadkiem, przyjaźnili się, dlatego mogłybyśmy podejrzewać, że było między nimi coś więcej. Ale niekoniecznie. Musimy to wiedzieć. Poza skutkami prawnymi i finansowymi mamy również i inne zobowiązania wobec dziecka, które przecież byłoby jednym z Joyce'ów... Chciałybyśmy je poznać. Mogę zapalić?

- Przykro mi, ale nie - powiedział Tolliver.

-Jeśli dziecko żyje, muszą być gdzieś ślady jego narodzin - zaczęłam. - A nawet gdyby urodziło się martwe, także i to znalazłoby się w karcie pacjenta. Trzeba tylko wiedzieć, kogo i o co pytać. Może powinniście wynająć prywatnego detektywa, kogoś, kto orientuje się w tego rodzaju poszukiwaniach. Ja umiem odnajdować tylko martwych.

- Dobry pomysł - zapaliła się Katie. - Znacie kogoś takiego?

-Tu, w Garland, nie, ale trochę dalej w stronę Dallas jest pewna kobieta - powiedział Tolliver.

- Jest dobra w tym, co robi. Nazywa się Victoria Flores. Kiedyś była policjantką w Texarkanie.

I przypadkiem wiem też o jednym bliżej was, byłym wojskowym. Z tego, co pamiętam, mieszka w Longview. Nazywa się Ray Phyfe.

- Poza tym w Dallas jest cała masa dużych agencji - tłumaczyłam, jakby same nie potrafiły do tego dojść.

- Nie chcemy żadnych dużych agencji - zaprotestowała Lizzy. - To musi być ktoś bardzo, bardzo dyskretny.

Czegoś takiego się właśnie spodziewałam. Byłam ciekawa, dlaczego akurat nas proszą o polecenie detektywa. Imperium Joyce'ów, którego ranczo stanowiło tylko mały kawałek, na pewno korzystało w przeszłości z tego rodzaju usług. W normalnych okolicznościach pewnie zwróciłyby się do sprawdzonej agencji, która świadczyła usługi na poziomie, do jakiego przywykły.

W tej chwili jednak było mi obojętne, czego chcą i jak zamierzają to osiągnąć. Pragnęłam tylko łyknąć pigułki przeciwbólowe i wczłgać się pod kołdrę. Lizzy rozmawiała z Tolliverem o Victorii Flores, a w końcu wzięła od niego numer do jej biura. Imię detektyw przywoływało wspomnienia.

- Naprawdę to pani widziała? - spytała Katie bez ogródek. - Nie robi nas pani w konia? Nikt nie zapłacił pani za wpuszczenie nas w maliny?

- Nie angażuję się w żadne wygłupy, można to sprawdzić. Nie biorę też pieniędzy za fałszywe orzeczenia. Oczywiście, że naprawdę to widziałam. To nie jest coś, co można zmyślić ot tak.

Lizzy zawłaszczyła sobie motelowy notes i długopis, leżące obok aparatu. Zapisała dane kontaktowe do Victorii Flores.

- Ostatnio zmieniła biuro - tłumaczył Tolliver - ale numer jest ten sam.

Spuściłam głowę, żeby ukryć zaskoczenie.

Padło jeszcze kilka zapewnień i powtórzeń tego, co już powiedzieliśmy, ale w końcu siostry Joyce wyszły z naszego pokoju. Zastanawiałam się, czy zdecydują się przenocować w Dallas, czy też wrócą na ranczo. Jeśli to drugie, czekała je długa droga. Przypuszczałam jednak, że raczej zostaną, choć zapewne w bardziej okazałym miejscu niż nasze. Może nawet miały w Dallas mieszkanie na takie okazje.

- No? - odezwałam się natychmiast po tym, jak za naszymi gośćmi zamknęły się drzwi, a Tolliver zasiadł znów do komputera. - Co z tą Flores?

Nic więcej nie musiałam mówić.

- Dzwonię do niej od czasu do czasu – wyjaśnił Tolliver. - Od czasu do czasu ma jakieś nowe tropy i sprawdza je. Wysyła mi rachunki. Płacę je. I tyle.

-A nie wspominałeś mi o tym, bo...? -Tak się tym przejmujesz. Nie było potrzeby, żeby cię informować. Kiedyś ci mówiłem o każdym jej telefonie, a ty się potem denerwowałeś. A i tak nic z tego nie wynikało. Teraz nie dzwoni już tak często, najwyżej raz, dwa razy do roku. Nie chciałem za każdym razem wzbudzać w tobie fałszywych nadziei. Odetchnęłam głęboko. Miałam ochotę rzucić się na niego z pięściami. To moja sprawa, jak reaguję na wieści dotyczącej mojej zaginionej siostry. Mam prawo przeżywać.

Ale zaraz przyszło mi do głowy coś innego. Rzeczywiście, z perspektywy Tollivera - czy naprawdę miałyby to jakiś sens? Czy nie było lepiej, że nie wiedziałam? Czy nie byłam spokojniejsza, szczęśliwsza, licząc na znalezienie Cameron na swój sposób? Czy to takie złe, oszczędzić trochę bólu, mimo że oznacza to niewiedzę w kwestii tak istotnej? Bardzo to wyszło zawile. Ale wiedziałam, o co mi chodzi, i rozumiałam decyzję Tollivera. I pomyślałam, że może miał rację. Przynajmniej w zakresie pobudek.

W końcu kiwnęłam głową. Ulżyło mu, bo na-pięcie widoczne w jego uniesionych ramionach natychmiast opadło. Usiadł na łóżku, zdjął skarpetki i rzucił je do torby na brudy, co przypomniało mi o konieczności zakupu proszku do prania.

Zanim byłam gotowa do snu, przewinęło mi się przez głowę jeszcze kilka takich nieistotnych myśli. Ostatnio czytałam powieści Charlie Huston i Duane'a Skwierczynskiego, ale działały na mnie jak spora dawka kofeiny, a dzisiaj nie potrzebowałam już żadnych podniet. Dlatego, zrezygnowawszy z czytania, sięgnęłam po krzyżówki. Przebrałam się w koszulkę i spodnie od pizamy, położyłam na brzuchu i przykryłam kołdrą, zagłębiając się w rozwiązywanie. Tolliver jest w tym zdecydowanie lepszy i trudno było mi się powstrzymać od pytania go o coś co chwilę.

Kolejny ekscytujący wieczór z życia Harper Connelly, poszukiwaczki zwłok, pomyślałam. I sprawiło mi to szczerą przyjemność.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego dnia, w niedzielę, mieliśmy w planach zabranie Marielli i Gracie na wrotki, ale dopiero po drugiej. W soboty dziewczynki sprzątały swój pokój i śpiewały w chórze, zanim mogły gdzieś wyjść, a w niedziele najpierw szły do kościoła i jadły rodzinny lunch.

Zasady lony były pod tym względem nienaruszalne. I dobrze, pomyślałam. Zrobiłam przebieżkę, wzięłam prysznic i właśnie zaczynałam się ubierać, gdy zadzwoniła komórka Tollivera. Wylegiwał się jeszcze w łóżku, więc odebrałam.

- Cześć, o, Harper?

Rozpoznałam ten głos.

- Tak, Tolliver jeszcze gnije w łóżku. Co u ciebie, Victoria?

Pradziadkowie Victorii byli imigrantami, ale ona sama urodziła się i wychowała w Teksasie. Mówiła zupełnie bez akcentu.

- Miło cię usłyszeć - powiedziała. - Nie, nie mam nic nowego o twojej siostrze, przykro mi. Dzwonię w sprawie tych klientek, które do mnie przystąpiście. Joyce'ów.

-Już zdążyły się z tobą skontaktować?

- Zdążyły nawet pojawić się w moim biurze i wypisać czek, słonko.

- To świetnie. Ale nie biorę za nie żadnej odpowiedzialności. To Tolliver im o tobie powiedział i dał namiar.

- Tak właśnie mówiła Lizzy. Rodowita Teksanka, nie? A ta jej siostra, Katie, chyba ma oko na twojego brata.

- Tolliver nie jest moim bratem – sprostowałam machinalnie, choć sama często tak go nazywałam. Odetchnęłam głęboko. - Właśnie się zaręczyliśmy - dodałam.

Tolliver przekręcił się na materacu, spoglądając na mnie bystro.

- Och... to... to wspaniale. Gratuluję. – Victoria nie była szczególnie zachwycona. Czyżby sama miała chrapkę na Tollivera? - Dajcie znać, kiedy ślub i gdzie, dobra? - rzekła już weselej.

-Jeszcze niczego nie zaplanowaliśmy. - Chwilowo wytrącona z równowagi, wzięłam się w garść, odzyskując twardy grunt. - Chcesz porozmawiać z Tolliverem? Jest przy mnie. - Tolliver co prawda kręcił głową, ale kiedy wyraziła chęć rozmowy z nim, ponuro przyjął słuchawkę.

- Cześć, Victorio. Nie, już nie spałem. Tak, jesteśmy razem. Nie, nie ustaliliśmy jeszcze daty, ale zrobimy to wkrótce. Nie spieszy się nam. – Skinął głową, patrząc mi znacząco w oczy.

W porządku, rozumiem. Żadnych nacisków z twojej strony. Jasne, tylko kto w ogóle zaczął z tym ślubem, i to jeszcze w dodatku przy łonie? Odwróciłam się do niego plecami i pochyliłam, szukając w torbie jakichś ubrań.

Po chwili poczułam palec muskający wyjątkowo czułe miejsce. Zamarłam. Seks-partyzantka. Coś nowego. Moje ciało uznało, że nie ma nic przeciwko, nie wywinęłam się więc od pieszczoty ani nie odtrąciłam ręki. A ręka ta poczyniła sobie coraz śmieiej, poruszając się bardziej zdecydowanie i rytmicznie. Umm, tak. Zaczęłam kręcić biodrami. Naraz poczułam na plecach ciepło jego ciała. Nadal prowadził rozmowę, ale głos miał nieobecny.

- Uhm, słuchaj, oddzwonię za chwilę - powiedział wreszcie. - Mam drugi telefon.

Klapka zamknęła się z cichym trzaskiem, a miejsce palców zajęło coś bardziej konkretnego.

- Gotowa? - szepnął chrapliwie.

- Umm... - mruknęłam i oparłam się rękoma o ścianę.

Natychmiast poczułam w sobie czubek jego wygiętego do góry członka i już po chwili zaczęliśmy się poruszać w zgranym rytmie.

Tolliver lubił mnie zaskakiwać.

Nie byłam szczególnie doświadczona, gdy nasza relacja przeniosła się na płaszczyznę erotyczną. Ale ciągle uczyłam się od niego czegoś nowego, a przy okazji poznawałam go z zupełnie innej strony. Przekonana, że znam go bardzo dobrze, nie przewidywałam wielkich niespodzianek. Nic bardziej mylnego.

Ostry dźwięk, który wyrwał mi się z gardła, zaskoczył mnie. Sekundę później podobny dobył się z ust Tollivera, niczym echo mojego.

-Jak sądzisz, czemu Victoria zadzwoniła? - zapytałam, odzyskawszy już głos. Gdy fala podniecenia opadła, zmęczeni runęliśmy na łóżko i teraz leżeliśmy wtuleni w siebie, absolutnie szczęśliwi. -Dziwne, jeśli chciała podziękować, wystarczył przecież mejl czy esemes. - Pocałowałam go w szyję.

- Zawsze ją fascynowałaś - rzekł Tolliver.

Niebywałe.

- Och... Chcesz powiedzieć...?

- Nie, nie sądzę, żeby była les czy bi. Myślę, że twoje umiejętności i sposób, w jaki je zyskałaś, są dla niej niezwykle ciekawe. Fascynujące. Przez te kilka lat zarzucała mnie setkami pytań na twój temat. W jaki sposób działa twój dar, jakie są twoje wrażenia podczas odczytów, co czujesz, jakie doznania fizyczne są twoim udziałem.

- Mnie nigdy o nic nie pytała.
 - Mówiła, że nie chce, aby jej nadmierne zainteresowanie sprawiło, że poczujesz się jak jakieś dziwadło albo kaleka.
 - Coś, jakbym jeździła na wózkach albo miała znamię na twarzy? Coś, co by mnie krępowało?
 - Myślę, że w ten sposób okazuje, że liczy się z twoimi uczuciami, nie chce cię zranić czy wprawić w zakłopotanie. Mam wrażenie, że jesteś obiektem jej wielkiego podziwu. - Tolliver powiedział to odrobinę strofująco, na co pewnie zasługiwałam. W końcu Victoria starała się być wobec mnie taktowna, a ja traktowałam jej wysiłki z podejrzliwością i dyskredytującym nastawieniem.
 - Nie, no, w porządku. Tylko dziwi mnie, że skoro tak ją to pasjonuje, nie próbuje czerpać informacji u źródła. - To była aluzja, że może tak żywe zainteresowanie Victorii opiera się w głównej mierze na potrzebie posiadania pretekstu do rozmów z Tolliverem.
 - Może i słusznie powątpiewasz - przyznał, uwiarygodniając moje domysły. - Choć nie sądzę, żeby kiedykolwiek była zainteresowana mną. Zawsze chodziło o ciebie. Moim zdaniem to ona ma skłonności do mistycyzmu. A twoje zdolności są dla niej jak objawienie.
- Jakby ujrzała Matkę Boską na toście albo coś w tym stylu?
- Coś w tym stylu.
 - Ha! - Coś mi przyszło do głowy. - W takim razie powinna kiedyś jechać z nami na cmentarz. Zobaczyć to na własne oczy. Pomaga nam przecież od tylu lat. A mnie to nie będzie przeszkadzało.

Tym razem nadeszła kolej na zdumienie Tollivera.

- No dobrze, powiem jej to. Jestem pewien, że będzie zachwycona.

Potańczę policzkiem czubek mojej głowy. Musnęłam kciukiem jego sutek. Jęknął z rozkoszy. Wiedziałam, że powinnam już wstać, wziąć prysznic i zacząć się ubierać, bo niedługo mieliśmy się spotkać z dziewczynkami, ale ociągałam się. Jeszcze było wcześnie. Usiłowałam wyobrazić sobie wspólną wizytę na cmentarzu. Mogliśmy zabrać Victorię ot tak, nie przy okazji zlecenia. Wiem, że to może zabrzmieć dziwnie, ale chodziłam na cmentarze także wtedy, gdy nie wiązało się to z pracą. Żeby nie wyjść z wprawy. Żeby doskonalić moją dziwną umiejętność.

Robienie tego przy Victorii byłoby nowością, zwykle unikałam widowni. Ale jej obecność na pewno nie będzie mi przeszkadzała.

- Pewnie świetnie umie posługiwać się komputerem - zauważyłam. - Teraz to chyba podstawowe narzędzie pracy detektywa?

- Nadal mówimy o Victorii? Tak, pewnie masz rację. Nawet wspominała kiedyś, że zatrudnia czasem informatyka.

Leżałam pogrążona w rozmyślaniach, podczas gdy Tolliver brał prysznic i ubierał się do wyjścia. Victoria Flores wzbudziła nagle moje zainteresowanie. Ciekawe, czy uda jej się dowiedzieć czegoś o dziecku. Przecież nawet nie mieliśmy pewności, czy ono istnieje. To, czy Mariah Parish urodziła żywe czy martwe dziecko, nie powinno mnie w ogóle obchodzić, jednak cała ta sprawa z Joyce'ami szczerze mnie zaintrygowała. Podejrzywałam, że to nie Richard może być ojcem. Z drugiej strony, skoro siostry tak szybko uznały, że dziadek mógł mieć dziecko z opiekunką, może i miały rację. Ale ani Liz-zy, ani Katie nie widziały tego co ja, kiedy mówiłam o przyczynie śmierci Mariah. Patrzyłam wtedy na mężczyzn, brata oraz partnera jednej z nich. Obaj byli mocno wstrząśnięci moimi słowami. Nie wiem jednak z jakiego powodu i mogę się tego nigdy nie dowiedzieć. Ale Victoria miała na to realne szansę.

Może obaj sypiali z opiekunką. Możliwe, że jeden z nich był ojcem dziecka. A może przeżywali to tak bardzo, bo oddali je do adopcji lub pomagali ukryć zwłoki.

Fakt, że sprawki Drexella nie powinny mnie obchodzić, a same poszukiwania dziecka nie leżały w zakresie moich obowiązków czy możliwości... chyba że niemowlę było martwe. Zastanawiałam się, czy nie zaproponować Victorii pomocy w odnalezieniu ciała. Ale niemowlęta były zawsze największym wyzwaniem. Miały bardzo słabe głosiki. Wyraźniej dawały o sobie znać, gdy leżały pochowane z rodzicami.

Porzuciłam rozważania na temat hipotetycznej śmierci hipotetycznego dziecka na rzecz przygotowań do spotkania z żywymi dziećmi.

Dziewczynki przypadły do naszego samochodu, gdy tylko przystanęliśmy na podjeździe. Wyglądały na uszczęśliwione i podekscytowane perspektywą popołudniowej rozrywki.

- Dostałam piątkę z ortografii - paplała Gracie. Tolliver pochwalił ją, ja także wyraziłam radość z jej osiągnięć, ale odwróciwszy głowę, zauważyłam, że siedząca z tyłu Mariella jest jakaś cicha i bez humoru.

- Co jest, Mariello? - zagałam.

- Nic - skłamała.

- Mariella musi jutro zostać po lekcjach w kozie - wydała siostrę Gracie.

- A to czemu? - rzuciłam z wystudiowaną obojętnością.

- Dyrektor powiedział, że sprawiam kłopoty - przyznała się Mariella, nie patrząc mi w oczy.

- A to prawda?

- To przez Lindsay.

- Lindsay ją prześladowa - klepała Gracie. – Nie można dać się zastraszać, prawda? To złe, tak? - Była przekonana o swej racji.

- Porozmawiamy o tym później – zakończyłam temat, chcąc przyhamować zapędy Gracie.

Mariella uspokoiła się nieco. Nie przywykłam do radzenia sobie z takimi problemami, nie miałam doświadczenia z dziećmi. Ale z własnej przeszłości pamiętałam, że coś takiego w tym wieku może wydawać się nieomal końcem świata.

Po wejściu na wrotkowisko Tolliver spojrział na mnie, unosząc brwi. Odpowiedziałam znaczącym skinieniem w stronę Gracie.

- Choć, Gracie - zareagował natychmiast. - Pójdziemy pożyczyć wrotki. - Wziął ją za rękę i poszli w stronę kontuaru.

Ruszyliśmy za nimi z Mariella, ale szłyśmy po woli.

- No, opowiadaj - zachęciłam ją.

Tak jak podejrzewałam, nie stało nic poważnego. Lindsay powiedziała Marielli coś przykrego o adopcji i ojcu przestępcy. W odpowiedzi Mariella grzotnęła ją w brzuch, co według mnie było jak najbardziej właściwą reakcją. Najwyraźniej jednak z punktu widzenia szkoły powinna raczej rozplakać się i poskarżyć nauczycielowi. Zdecydowanie popierałam rozwiązanie, które wybrała siostra. I tu pojawiał się dylemat. Czy powinnam iść za głosem serca czy Raczej poprzeć stanowisko szkoły? Może gdybym była rodzicem, wiedziałabym, co uczynić w tej sytuacji, nie pełniłam jednak tej godnej roli, musiałam więc poradzić sobie na wycucie.

- Lindsay zachowała się naprawdę paskudnie - zaczęłam. - Nie odpowiadasz za to, co robi twój biologiczny ojciec.

Mariella kiwnęła głową, zaciskając szczęki. Nie potrafiłam oprzeć się skojarzeniu, w ten sam sposób czynił to Matthew.

- Tak powiedziałam dyrektorowi - rzekła Mariella. - Bo tak mówiła mama. Pewnie powinnam to powiedzieć Lindsay, zamiast ją bić. Ale była taka okropna.

Pomyślałam z uznaniem, że łona nie zaniedbała przygotowania dziewczynek na okrucieństwo innych dzieci.

- Na twoim miejscu pewnie zrobiłabym to samo. Ale wiesz, bicie niczego nie rozwiązuje, za to można sobie tym napytać jeszcze więcej biedy.
 - Czyli bicie jest złe?
 - No, nie jest to najlepszy sposób na wyjście z sytuacji - kluczyłam. - Pomyśl, jak inaczej mogłabyś się zachować? - Ta droga wydawała się odpowiednio subtelna.
 - Mogłam iść do nauczycielki - odparła Mariella. - Ale zawsze jak rozmawiam z nią o moim biologicznym ojcu, ona ma taką dziwną minę.
 - No tak. - Hmm.
 - Mogłam nic nie zrobić, ale wtedy Lindsay by nie przestała.
 - Masz rację. - Mariella zaskakiwała mnie swoją wnikliwością. Chyba podobała jej się rozmowa z kimś, kto nie wmawiał jej, że Bóg rozwiąże wszelkie kłopoty.
 - Mogłam... No, nie wiem. - Mariella zawiesiła głos, patrząc na mnie wyczekująco.
- Ja też nie bardzo wiem. Myślę, że działałaś po prostu pod wpływem impulsu i nie skończyło się to dla ciebie najlepiej. A co z Lindsay?
- Dostała karę. Za wyzywanie. Jutro nie będzie wychodzić na przerwy.
 - To dobrze, prawda?
 - Tak, ale lepiej by było, gdyby w ogóle nie zaczynała.

Ha. Mała wojowniczką.

- Fakt. Ale pamiętaj, to nie twoja wina, że ojciec zażywał narkotyki. Nie wszystkie dzieci to pojmują, nie wiedzą, jak to jest mieć rodziców, którzy źle postępują. Takie dzieci mają szczęście i nie rozumieją tak naprawdę, dlaczego nie chcesz o tym mówić. Wiedzą tylko, że sprawia ci to przykrość i kiedy chcą ci dokuczyć, wyciągają właśnie takie rzeczy. - Odetchnęłam głęboko. - My też przez to przechodziliśmy, Mariello. I ja, i Tolliver. Kiedy wy byłyście jeszcze całkiem malutkie. Wszyscy w szkole wiedzieli, jacy są nasi rodzice.
 - Nawet nauczyciele?
 - No, może nie nauczyciele. Na pewno się czegoś domyślali. Ale dzieci wiedziały. Niektóre same dostarczały narkotyki naszym rodzicom.
- I też mówili wam takie rzeczy?
- Tak, niektórzy. A niektórzy uważali, że robimy to samo co rodzice. Narkotyki i tak dalej.

- Znaczą seks?
- Uhm. Ale to tylko te dzieciaki, które nas nie znały. Mieliśmy przyjaciół, którzy w to nie wierzyli.

Niezbyt wielu, ale jednak.

- Umawiałaś się na randki?

Ups! Przecież to jeszcze nie ten wiek? Chyba... Omal nie spanikowałam.

- Tak, chodziłam na randki. Ale nigdy z chłopakami, którzy myśleli, że będę z nimi od razu uprawiała seks. A taką ostrożnością zdobywasz sobie w końcu jakby odwrotną reputację, że jesteś...
- Cnotką? - podsunęła Mariella ze znawstwem.
- Nawet nie to. Bo „cnotka” tylko udaje, a tak naprawdę odda się byle chłopcu, który zdoła ją do tego namówić. Czegoś takiego nie można nawet brać pod uwagę. - Iona dostałaby apopleksji, słysząc tę rozmowę. Ale właśnie dlatego siostra poruszyła ten temat ze mną, a nie z nią.
- Ale wtedy nikt nie będzie się chciał z tobą umawiać.

Czysty koszmar.

- To niech się... wypchają - w ostatniej chwili powściągnęłam język. - Nie ma sensu umawiać się z chłopcem, który uważa, że jeśli będzie z tobą chodził wystarczająco długo, to mu ulegniesz.
- To po co mieliby się w ogóle umawiać? – Na twarzy dziewczynki odbiła się konsternacja.

Ja byłam w dużo gorszym stanie.

- Z sympatii, bo lubią przebywać w twoim towarzystwie. Bo śmiejecie się z tych samych rzeczy, macie wspólne zainteresowania. - Przynajmniej w teorii. Czy tak to właśnie działało w praktyce? I czy w ogóle coś takiego powinno zaprzętać głowę dziewczynki, ile... dwunastoletniej?
- Więc powinien być jakby przyjacielem.
- Zdecydowanie.
- Czy Tolliver jest twoim przyjacielem?
- Tak, najbliższym.

- Ale wy... No wiesz.

Nie mogła się przemóc, żeby ubrać to w słowa, za co byłam wdzięczna losowi.

- To bardzo intymna kwestia. Kiedy naprawdę się kogoś kocha, te sprawy są tak ważne, że nie chce się rozmawiać o nich z innymi.

- Aha - podsumowała Mariella z namysłem. Miałam nadzieję, że naprawdę to do niej dotarło i zastanawia się nad tym. Liczyłam, że nie palnęłam jakiejś kolosalnej bzdury. Najpierw wmawiałam jej, że nie powinna uprawiać seksu z chłopcem, z którym się umówi, a zaraz potem przyznałam, że sama to robię z Tolliverem. Dość sprzeczne rozumowanie.

Z ulgą ujrzałam Tollivera i Gracie, którzy czekali, aż do nich dołączymy. Przyspieszyłam kroku. Tolliver obrzucił mnie niepewnym spojrzeniem, za to Gracie była tylko zniecierpliwiona.

- No, chodźmy już na te wrotki. Chcę pojeździć!

Po wyjściu na tor pomogliśmy dziewczynkom dobrać do bandy, a upewniwszy się, że jakoś sobie radzą, zostawiliśmy je tam, żeby zrobić rundkę. Trzymając się za ręce, zaczęliśmy ostrożnie jechać w koło, powoli przypominając sobie umiejętność, z której tak dawno nie korzystaliśmy. Od dobrych ośmiu lat nie mieliśmy na nogach wrotek. Nieopodał naszych slumsów znajdowało się wrotkowisko, a ponieważ wtedy była to groszowa impreza, spędziliśmy tam z Tolliverem całe godziny.

Objechaliśmy tor kilka razy i wróciliśmy do sióstr. Właśnie wyklócały się o to, która jest lepsza. Wzięłam Gracie za rękę, Tolliver zajął się Mariellą i ostrożnie włączyliśmy się do ruchu. Poruszałyśmy się bardzo wolno, mimo tego raz nie udało mi się zapobiec upadkowi Gracie. Za drugim razem podcięła mi nogi i gruchnęłyśmy razem. Ale i tak szybko nabierała wprawę.

Mariellą, która należała do pozaszkolnego klubu koszykarskiego, radziła sobie znacznie lepiej. Tak się chełpiła swoimi umiejętnościami, że Tolliver musiał w końcu ją przystopować.

Roześmiani, schodziliśmy właśnie z toru, gdy zdałam sobie sprawę, że ktoś nas obserwuje. Wpatrywał się w nas siwy mężczyzna, około metra osiemdziesięciu wzrostu, starszy, ale atletycznej budowy, wręcz napakowany. Przesunęłam po nim wzrokiem, ale cofnęłam się i skupiałam na twarzy. Znałam go. Popatrzyłam prosto w jego szare oczy.

- Cześć, tato - rzekł Tolliver.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Siostry przyłgnęły do nas, wpatrzone w biologicznego ojca z (przynajmniej Gracie) mieszaniną nienawiści i tęsknoty. Mariellą była bardziej zdecydowana w swoich odczuciach, z jej oczu biła tylko wrogość, a niewielkie dłonie zacisnęła w pięści.

Ponieważ Matthew nie był moim ojcem, nie miałam takich dylematów.

- Witaj - powiedziałam. - Co tu robisz?

Tollivera i Mariellę wręcz pożerał oczami. Na mnie zerknął obojętnie. Gracie skuliła się za mną, uciekając przed jego spojrzeniem.

- Chciałem zobaczyć się z dziećmi - odparł. - Wszystkimi.

W zapadłym na chwilę milczeniu trawiłam fakt, że jego głos brzmiał wyraźnie. Może rzeczywiście, tak jak mówił Markowi, był czysty. Jednak wiedziałam, że nawet jeśli, powrót do nałogu jest tylko kwestią czasu.

- Ale my nie chcieliśmy widzieć się z tobą - Tolliver nie podniósł głosu. Odsunęliśmy się na bok, żeby nie torować drogi innym wrotkarzom. - Nie przyszło ci to do głowy, kiedy nie odpowiadaliśmy na listy? Mark ci nie przekazał naszej rozmowy? Przecież wysłałeś go, żeby wybadał grunt. Założę się też, że ona nie dała ci zgody na spotkanie z dziewczynkami. A teraz ona i Hank są ich prawnymi opiekunami.

- Ale ja jestem ich prawdziwym ojcem.

- Zrzekłeś się praw rodzicielskich - przypomniałam, akcentując każde słowo.

- Zrobiłem to pod przymusem. - Wyciągnął rękę, jakby chciał pogłodzić Mariellę po głowie, ale ta zrobiła unik, wczepiając się w rękę brata, jakby był jej ostatnią deską ratunku.

Na wrotkowisku kłębił się tłum, ale po chwili ludzie zaczęli obrzucać naszą grupkę zaciekawionymi spojrzeniami. Nie przejmowałam się widownią, ale nie chciałam żadnych scen w obecności dziewczynek.

- Odejdź - syknęłam. - Natychmiast zabieramy dziewczynki do domu. Już nam popsujesz zabawę.

Nie pogarszaj sytuacji.

- Chciałem zobaczyć się z dziećmi - powtórzył.

- Proszę, patrz. Już, widziałeś je, więc odejdź.

- Zrobię to tylko ze względu na matę. – Wskazał brodą dziewczynki, wystraszone i stropione. – Do zobaczenia wkrótce, Tolliverze - rzekł, odwrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu.

- Śledził nas - palnęłam głupio.

- Pewnie przyczał się przy domu lony – kiwnął głową Tolliyer. Popatrzyliśmy po sobie, w milczącym porozumieniu zawieszając dyskusję. Równocześnie odetchnęliśmy głęboko. Rozbawiłoby to nas, gdybyśmy nie byli tak zdenerwowani.

- Uff! - Odwróciłam się do dziewczynek, nadrabiając miną. - Na szczęście już po wszystkim. Opowiemy o tym mamie, dobrze? Dokładnie tak, jak było. Coś takiego się już nigdy nie powtórzy, rozumiecie? A przecież wcześniej świetnie się bawiliśmy, prawda? - paplałam nieskładnie, ale siostry już zaczęły dochodzić do siebie. Zdjęły wrotki, a po chwili przestały tak bardzo przypominać sarny schwytane w światła reflektorów.

W drodze do domu siedziały cichutko jak mysz-ki, co było w pełni zrozumiałe, zaś po dotarciu na miejsce wyskoczyły z samochodu i popędziły do domu jak pod ostrzałem. Ruszyliśmy za nimi, choć wolniej - nie spieszyło nam się do zdawania relacji z wydarzeń tonie i Hankowi, mimo że nie zawiniliśmy niczym.

Nie zaskoczył nas widok stojących na środku kuchni wujostwa, którzy czekali, aż wejdziemy.

- Co się stało? - spytała łona. Ku mojemu zdumieniu zamiast spodziewanej wściekłości, wychwyciłam w jej tonie tylko troskę.

- Ojciec pojawił się nagle na wrotkowisku - wyjaśnił Tolliver, nie owijając w bawełnę. - Nie wiem, jak długo nas obserwował, nim go zauważyłem. - Wzruszył ramionami. - Nie był na haju, nie zachowywał się groźnie. Ale mocno przestraszył dziewczynki.

- Dopóki to się nie stało, naprawdę świetnie się bawiliśmy - zastrzegłam, świadoma, że w tej sytuacji taka uwaga jest nie na miejscu. Uznałam jednak, że muszę to zaznaczyć.

- Dostaliśmy od niego list - przyznał Hank. - Nie odpowiedzieliśmy. Nie przypuszczaliśmy, że poważy się na coś takiego.

A więc przerzucali się odpowiedzialnością za ukrycie przed nami informacji o wyjściu Matthew z więzienia.

- Wypuścili go już jakiś czas temu - potwierdziłam, choć niechętnie rezygnowałam z chwilowej przewagi. - Widzieliśmy się z Markiem, powiedziałam. Ale nie rozwodził się szczególnie, wspomniał tylko, że Matthew jest czysty i pracuje w McDonalddie.

- Ach, czyli Mark utrzymuje kontakty z ojcem? -łona spochmurniała, siadając ciężko na stołku. Po chwili wahania my także przycupnęliśmy przy stole.

Nie otrząsnęliśmy się jeszcze ze zdumienia, że Gorhamowie nie ciskają na nas gromów, winiąc za ten incydent. - Mark ma za miękkie serce, jeśli chodzi o ojca - rzekła.

W skrytości ducha zgadzałam się z nią całkowicie. Hm, może nie w takiej skrytości, sądząc z miny Tolliyera. Zdecydowanie zbyt łatwo mógł mnie rozszyfrować.

-Możesz nam powiedzieć, czego tak naprawdę chciał? - zwróciła się do mnie Iona niespodziewanie.

- Proszę? - Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi.

- No wiesz, tym twoim czymś. - Ciotka machnęła ręką, jakby odganiała komara.

- Nie jestem telepatką, Iono, choć w tym wypadku nie miałabym nic przeciwko. Sama chciałam wiedzieć, co mu się roi w głowie. Niestety, potrafię tylko odnajdywać zwłoki. - Za późno dostrzegłam ponad ramieniem Iony Mariellę. Weszła z holu, chcąc przejść do sypialni. Teraz zamarła z oczami jak talerze. Ale przecież nie wstrząsnęły nią chyba moje słowa? Co, u licha, Iona naopowiadała o mnie dziewczynkom? Mariella odzyskała nagle władzę w nogach i wybiegła z kuchni.

Doprawdy, idealny dzień.

- No i co ci mówi to twoje przecucie? - ponagliła mnie Iona, uparcie ignorując moje wcześniejsze słowa.

- Nic przydatnego w tym momencie - oświadczyłam. - Generalnie w pobliżu brak trupów. Najbliżej znajdujące się ciało, prawdopodobnie jeszcze sprzed ogłoszenia niepodległości, leży dość głęboko, w ogródku frontowym sąsiadów. Chyba Indianin. Ale musiałabym podejść bliżej, żeby stwierdzić na sto procent.

Wreszcie przykułam uwagę wujostwa. Gapili się na mnie osłupiali. To nie popchnęło jednak dyskusji do przodu.

- Ale nie ma on nic wspólnego z dzisiejszym po-jawieniem się Matthew na wrotkowisku - dodałam. - Może powinniście wystąpić o sądowy zakaz zbliżania? Bo przecież nie ma żadnych praw do dziewczynek, prawda?

- Tak. - Hank otrząsnął się ze stuporu szybciej niż żona. - Zrzekł się praw, adopcja była całkiem legalna.

- Ale nie będziemy dzwonić na policję – uniosła się Iona. - Nagadaliśmy się już z nimi tyle, że starczy na całe życie.

- Więc pozwolicie, żeby tu przychodził i straszył dziewczynki?

- Nie! Ale mamy dość policji. Kręcili się tu całymi tygodniami po zniknięciu twojej siostry! Nie chcemy ich i tyle.

Wiedziałam, jak to jest, kiedy nie chce się być na radarze policji, choć większość stróżów prawa, których poznałam, była zwykłymi ludźmi, usiłującymi pełnić swoje obowiązki mimo braku wystarczających środków. Jednak to nie niechęć wujostwa do radiowozu przed domem skłoniła mnie do rozwagi, a troska o dziewczynki. I tak były już przestraszone, a obecność policji mogła wywrzeć wrażenie, że sytuacja jest groźniejsza niż w rzeczywistości. W końcu Matthew nie miał powodów, by skrzywdzić córki. Może łona i Hank mieli rację, choć opierała się ona na niewłaściwych założeniach.

- W takim razie nic nie możemy pomóc - rzekł Tolliver, widocznie dochodząc do podobnych wniosków co ja. - Pójdziemy już.

- Jak długo zamierzacie zostać w mieście? - zapytała łona z nutką desperacji w głosie. - Macie jakieś kolejne zlecenie?

Nigdy wcześniej nie martwiła jej perspektywa naszej nieobecności w okolicy. Wprost przeciwnie, każdą wizytę traktowała jak dopust boży i nie mogła się doczekać, aż wyjedziemy.

- Na razie możemy zostać - powiedziałam, zerknąwszy wcześniej na Tollivera. W zasadzie nie mieliśmy pilnego zlecenia, choć to mogło się zmienić choćby jutro.

- Dobrze. - łona skinęła głową, jakbyśmy dobili jakiegoś targu. - W takim razie zadzwonimy, gdyby Matthew znów się tu kręcił.

I co niby mielibyśmy zrobić w takim wypadku? Już otwierałam usta, żeby zaprotestować, ale Tolliver mi przeszkodził.

- W porządku. Tak czy inaczej zadzwonimy się jutro.

- Pójdę do dyrektora - rzekła łona. - Nie uśmiecha mi się co prawda omawianie z nim całej tej sytuacji, ale ze względu na bezpieczeństwo dziewczynek nauczyciele muszą wiedzieć o Matthew.

Ulżyło mi trochę. Widziałam, że ciotka przejęła się bardzo, a Hank wyglądał na zatroskanego. Przypomniałam sobie, że łona jest przecież w ciąży. Hank podchwycił moje spojrzenie i ruchem głowy wskazał drzwi. Zirytowało mnie jego przeświadczenie, że brak nam inteligencji, by zorientować się i wyjść w odpowiednim momencie.

- W takim razie do jutra. Pa, dziewczynki! - zawołałam w głąb domu. Po chwili dostrzegłam, że wysunęły głowy z pokoju. Pomachałam im. Odmachały, choć nieco niepewnie. Nie uśmiechnęły się.

W milczeniu wsiedliśmy do samochodu. Nie bardzo wiedzieliśmy, co powiedzieć.

- Musimy tu zostać przez kilka dni. Chcę się upewnić, że ojciec nie będzie ich nachodził
- odezwał się Tolliver, kiedy odjechaliśmy kawałek.

- Myślisz, że to pomoże? Przecież może odczekać, aż wyjedziemy, i znów tu wrócić.

Tolliver potrząsnął głową, jakby odganiał natrętną muchę.

-Jeśli się uprze, nic go nie powstrzyma. Nie mam pojęcia, co robić.

- Przeczeka, a potem zacznij swoje. Zresztą, co my jesteśmy, armia ochroniarzy? Nagle zostaliśmy obrońcami?

- Chyba uważają, że jesteśmy zaradniejsi, silniejsi od nich - rzekł Tolliver po namyśle.

- No bo to prawda. Hej, hej, nie żeby to cokolwiek znaczyło w tym wypadku.

- Wiesz, to mój ojciec. Powinienem coś zrobić.

- Rozumiem, dlaczego czujesz się w obowiązku zaradzić jakoś tej sytuacji - starałam się ująć to jak najogólniej. -I rozumiem, czemu chcesz zostać tu te parę dni, nie mam nic przeciwko. Ale nie możemy bez końca czatować pod ich domem na twojego ojca.

Oczywiście, że prędzej czy później zostanie aresztowany, bo oboje wiemy, że znów zaczną brać. Ale póki Iona i Hank nie zdecydują się zgłosić tego na policję, nie możemy nic poradzić na jego zakusy wobec dziewczynek. Zresztą nawet policja nie będzie przez cały czas pilnowała Marielli i Gracie.

- Wiem, wiem... - zniecierpliwiał się Tolliver.

Zamilkłam, żeby nie powiedzieć czegoś, czego mogłabym pożałować. Żadne z nas nie odezwało się już przez całą drogę do motelu.

Nic chyba bardziej nie wytręcało mnie z równowagi i nie przerażało jak starcia z bratem. Znów przypomniałam sobie, że nie powinnam myśleć o nim „brat”. W tej sytuacji było to naprawdę niewłaściwe. Tyle że niełatwo przełamać wieloletni nawyk.

W pokoju nie mogłam sobie znaleźć miejsca i za-jęcia. Nie chciało mi się czytać, a niedzielny program telewizyjny wołał o pomstę do nieba, no, chyba że jest się fanem sportu. Pozbierałam brudne rzeczy do torby.

- Idę poszukać pralni samoobsługowej - oświadczyłam, ale jeśli Tolliver coś powiedział, już nie usłyszałam. Potrzebowaliśmy odpoczynku od siebie.

Recepcjonista dał mi dokładne wskazówki, jak dojść do dużej, porządnej pralni położonej nieopodal motelu. Zawsze woziliśmy ze sobą proszek i chusteczki do suszarki, a także odłożone na ten cel monety, więc kilka minut później byłam już w drodze.

Pralnia zatrudniała pracownicę, starszą kobietę o siwych włosach i ładnej figurze. Kiedy weszłam, czytała coś przy małym stoliku, ale przerwała i kiwnęła mi głową na powitanie. Jak zwykle w weekendy w pralni panował ruch, ale udało mi się znaleźć dwie wolne pralki, stojące akurat jedna przy drugiej. Załadowawszy bębny, przyciągnęłam sobie plastikowe krzeselko, usiadłam i wyjęłam z torby książkę.

Teraz, bez towarzystwa naburmuszonego Tollivera, mogłam spokojnie poczytać. Nie wiem, czemu tu akurat czułam się tak dobrze. Może to ten rozgardiasz, obecność ludzi, a i perspektywa zwiększenia zasobu czystych ubrań nastrajały mnie pozytywnie.

Wyciszyłam się. Wokół nie było żadnych ciał. Chwilowy brak niemal nieustannego brzęczenia w głowie napawał mnie błogością.

Co jakiś czas podnosiłam wzrok, rozglądając się wokół. Za którymś razem, już prawie pod koniec wirowania, dostrzegłam wpatrującą się we mnie kobietę, mniej więcej w moim wieku.

- Czy to pani? Czy pani jest tą kobietą, która odnajduje zwłoki?
- Nie - zaprzeczyłam natychmiast. - Ale wiem, o kogo pani chodzi, już mnie z nią mylono. Pracuję w centrum handlowym.

Tak właśnie mówiłam, kiedy byliśmy w jakimś mieście. Zawsze działało. W miastach zawsze były duże centra, a poza tym to idealne miejsce, żeby wyjaśnić, dlaczego ktoś mógł mnie kojarzyć z widzenia.

- W którym centrum? - drążyła nieznajoma. Była ładna mimo niedbałego, weekendowego stroju. Była też nieustępliwa.
- Proszę wybaczyć - zaczęłam z odpowiednim uśmiechem. - Nie znam pani. - Wzruszyłam ramionami, co miało znaczyć: „Na pewno jesteś miła, ale nie zamierzam ci się opowiadać”. Dziewczyna zignorowała sygnał.
- Wygląda pani dokładnie jak ona. - Uśmiechnęła się, jakby ta uwaga miała mi sprawić przyjemność.
- Uhm. - Zaczęłam wyciągać pranie i ładować je do wózka na kółkach, który wcześniej sobie przyciągnęłam.
- Bo gdyby pani nią była, na pewno jej brat kręciłby się też gdzieś w pobliżu - ciągnęła niezrażona. - Chętnie bym na niego wpadła, jest niezły.

- Um, ale nie jestem nią. - Wrzuciłam byle jak resztę mokrych rzeczy. Czekają mnie jeszcze suszenie, nie mogłam wyjść ot tak, a wzdrygałam się na samą myśl o rozmowie z tą kobietą na temat swojego życia, pracy i Tollivera.

Nieznajoma obserwowała mnie do końca pobytu w pralni, jednak, Bogu dzięki, już nie podeszła. Podczas suszenia udawałam, że jestem całkowicie pochłonięta czytaniem, a później składałam ubrania, wmawiając sobie, że w ogóle jej tam nie ma. Zazwyczaj to działało.

Ładując suche pranie do samochodu, nabrałam przekonania, że kobieta już sobie poszła. Ale nie, podeszła do mnie na parkingu.

- Proszę mnie zostawić w spokoju - powiedziałam zdenerwowana do granic możliwości.

- Jest nią pani - stwierdziła z satysfakcją.

- Proszę odejść - rzekłam, wsiadając do samochodu, i zablokowałam drzwi. Oczekałam, aż wróci do pralni, i dopiero wtedy ruszyłam. Miałam nadzieję, że w czasie nieobecności ktoś zwędził jej ubrania.

Przynajmniej wiedziałam, że nie będzie mnie śledziła. Mimo to zerknęłam kilkakrotnie we wsteczne lustro i właśnie dzięki temu zauważyłam, że ŚLEDZI mnie jakiś samochód. Nie miałam całkowitej pewności, bo już było ciemno, ale oświetlenie uliczne wystarczało, żebym widziała dość dobrze nawet kolor pojazdów. Cały czas jechała za mną ta sama szara mazda miała. Zadzwoiłam do Tollivera.

- No cześć - odezwał się w słuchawce.

- Ktoś za mną jedzie.

- Jedź prosto do motelu, będę czekał na zewnątrz.

Tak też zrobiłam. Tolliver stał na wolnym miejscu parkingowym pod naszym pokojem. Wskoczyłam z samochodu i popędziłam do środka, zostawiając go na zewnątrz.

Po chwili Tolliver zawołał mnie. Zerknęłam przez wizjer. Nie był sam.

- Chodź, wszystko w porządku - jego głos nie brzmiał radośnie.

Otworzyłam drzwi. Tolliver wszedł, a wraz z nim jego ojciec. Cholera. Stojąc u mego boku, Tolliver zwrócił się do ojca.

- Czego chcesz? Dlaczego jechałeś za Harper?

- Chciałem z tobą porozmawiać, synu. - Matthew zerknął na mnie, starając się przybrać przeproszającą minę. - W cztery oczy. To sprawy rodzinne, Harper.

Chciał, żebym wyszła z własnego pokoju?

- Wykluczone - oświadczył Tolliver, obejmując mnie ramieniem. - Ona jest moją rodziną.

Oczy Matthew powędrowały od Tollivera ku mnie i z powrotem.

- Rozumiem - rzekł. - Słuchaj, chciałem cię przeprosić. Wiem, że byłem złym ojcem. Zawiodłem cię, zawiodłem też dzieciaki Laurel. A co gorsza, zawiodłem też nasze wspólne dzieci.

Staliśmy z Tolliverem w milczeniu. Nie musiałam nawet spoglądać na brata, wiedziałam, co teraz czuje. Matthew wcale nie musiał mówić, że nas zawiódł. Wiedzieliśmy o tym aż nazbyt dobrze.

Mimo to czekał na jakąś reakcję z naszej strony.

- Żadna, nowina - rzucił Tolliver.

- Byliśmy z Laurel uzależnieni - podjął Matthew. - To nie usprawiedliwienie naszych zaniedbań, raczej... wyznanie. Robiliśmy straszne rzeczy. Proszę tylko o twoje wybaczenie.

Ciekawe, czy to miał być krok w jakiejś terapii, w której brał udział Matthew. Jeśli tak, zabrał się do tego fatalnie. Nachodzenie dzieci, śledzenie mnie, żeby dotrzeć do Tollivera, kiepski sposób na okazanie skruchy.

Tym razem ja przerwałam zapadłe po tym oświadczeniu milczenie.

- Pamiętasz noc, gdy Mariella zachorowała, a my próbowaliśmy wydostać się z przyczepy, żeby zabrać ją do lekarza? Stałeś w drzwiach i nie wypuściłeś nas, bo bałeś się, że szpital zawiadomi opiekę społeczną. Tamtej nocy byliśmy gotowi zgodzić się nawet na rozdzielenie, byle tylko Mariella otrzymała pomoc.

- Wyzdrowiała!

- Bo przez całą noc nie spuszczałeś jej z oka, chłodziłeś ją w wodzie i podawaliśmy leki przeciwgorączkowe!

Matthew patrzył na nas pustym wzrokiem.

- Nie pamiętasz tego - kiwnął głową Tolliver. - Nie pamiętasz, jak musieliśmy spać pod przyczepą, bo urządziliście libację ze swoimi znajomkami. Nie pamiętasz, jak Harper została porażona piorunem, a ty nie pozwoliłeś wezwać karetki.

- Pamiętam - rzekł Matthew, patrząc Tolliverowi w oczy. - Robiłeś jej reanimację. Tamtego dnia uratowałeś jej życie.

- A ty nie zrobiłeś nic - powiedziałam.
- Kochałem twoją matkę - zwrócił się do mnie Matthew.
- To świetnie i cieszę się, że byłeś z nią do końca.

Pamiętasz? Siedziałeś w więzieniu, kiedy umierała!

- A ty przy niej byłeś? - odpalił.
- To nie ja powiedziałam przed chwilą, że ją kochałam.
- Byłeś na pogrzebie? - Jeśli chciał we mnie wzbudzić poczucie winy, nie trafił.
- Nie. Nie chodzę na pogrzeby. Z oczywistych powodów.

Nie zrozumiał. Przez te wszystkie lata zabił używkami większość swoich szarych komórek. Zmrużył oczy, spoglądając pytająco.

- Obecność martwych ludzi odbieram dość specyficznie.
- Och, nie pieprz. Nie musisz udawać. Pamiętaj, z kim rozmawiasz. Możesz oszukiwać ludzi, ale mnie nie nabierzesz. - Matthew zrobił konfidencjonalno-
-porozumiewawczą minę.

- Wyjdź - syknął Tolliver.
- Daj spokój, synu, nie powiesz mi przecież, że to

całe szukanie trupów to prawda - powiedział Matthew niedowierzająco. - Okej, możesz udawać przed innymi, ale sam wiesz, że twoja siostra jest tylko okultystyczną szarlatanką.

- Nie jest moją siostrą, nie łączą nas więzy krwi - przypomniał Tolliver. - Jesteśmy parą.

Twarz Matthew skurczyła się w odrazie. Wyglądał, jakby za chwilę miał zwymiotować.

- Brzydzę się wami - wypalił i natychmiast tego pożałował.

Prawie wszyscy, którym powiedzieliśmy o naszym związku, reagowali mniej lub bardziej negatywnie. Gdybym przejmowała się ich zdaniem, już zaczęłabym się martwić wspólną przyszłością z Tolliverem.

Na szczęście miałam to gdzieś.

- Czas na ciebie, Matthew - powiedziałam, odsuwając się od Tollivera. - Jak na zreformowanego ćpuna i pijaka nie jesteś zbyt tolerancyjny wobec innych. - Otworzyłam drzwi.

Matthew spoglądał to na mnie, to na syna, czekając, aż ten zaneguje sugestię. Tolliver wskazał mu głową wyjście.

- Lepiej się wynoś, zanim do reszty stracę panowanie - głos Tollivera pozbawiony był jakichkolwiek emocji.

Wychodząc, Matthew obrzucił mnie rozwścieczonym spojrzeniem.

Zamknęłam za nim drzwi na zamek, podeszłam do Tollivera i spojrzałam na jego zaciętą twarz.

- Ech, żeby choć jedna osoba cieszyła się z naszego szczęścia - powiedziałam, żeby przerwać ciszę. Nie wiedziałam, co w tej chwili czuje. Może chciał zmienić zdanie?

Na zewnątrz panowała całkowita ciemność, a okno przypominało wielkie, ślepe oko, skierowane na nasz pokój. Nieprzyjemne wrażenie potęgował fakt, że mieszkaliśmy na parterze. Tolliver przytulił mnie, a potem puścił i poszedł zaciągnąć zasłony. Odgródzona od nocy, nareszcie tylko z Tolliverem, poczuję się lepiej.

Stał przy oknie, z rozłożonymi ramionami i palcami zaciśniętymi na tkaninie. Ja znajdowałam się za nim, nieco z boku, pochylając się, by zdjąć buty. I nagle, w ułamku sekundy, jednocześnie wydarzyło się sto rzeczy. Przeróżliwy hałas, piekące igły na klatce piersiowej i twarzy, wilgoć na skórze. Poczułam zimny powiew, a Tolliver zatoczył się do tyłu, przewracając mnie na łóżko. Runął na mnie całym ciężarem, a potem zsunął się bezwładnie na podłogę. Skoczyłam na równe nogi tak gwałtownie, że aż się zachwiałam. Choć było to kompletnie niezrozumiałe, wiedziałam, że chłód bije od okna. Spojrzałam po sobie. Moja koszulka była mokra, ale nie od deszczu. Cała czerwona. Nadawała się do wyrzucenia. Nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy. Chyba krzyknęłam, pojmując jakąś część świadomości, że Tolliver został postrzelony, że w mojej skórze tkwią odłamki szkła i jestem pokryta krwią, że w jednej chwili cały nasz świat wywrócił się do góry nogami.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Musiałam otworzyć drzwi w odpowiedzi na łomotanie, bo w pokoju znajdował się Matthew. Stałam bezradnie, patrząc to na Tollivera, to na swoje dłonie, którymi przetarłam twarz. Były całe we krwi, a nie chciałam go dotykać brudnymi rękoma.

Matthew klęczał przy synu. Sięgnęłam po komórkę i wystukałam numer alarmowy, choć wymagało to ode mnie więcej wysiłku niż cokolwiek, co do tej pory zrobiłam w całym życiu. Wycharzystałam adres motelu, numer pokoju, powiedziałam, że potrzebujemy karetki, i dorzuciłam „postrzał”, bo to słowo kołatało mi się w głowie.

Przemknęła mi myśl, że niepotrzebnie o tym wspomniałam, bo może ratownicy będą się bali przyjechać, ale szybko przestałam myśleć o czymkolwiek i przypadłam do Tollivera.

Raz strzelano do mnie przez okno, to było przerażające. Wtedy także wbiło się we mnie pełno szkła. Ale teraz było gorzej, strach przytłaczał mnie całkowicie, bo tym razem dotyczyło to Tollivera. Nie mogłam oderwać się od tej myśli, od makabry przeżywania czegoś takiego po raz drugi. Z ogromnym wysiłkiem skierowałam uwagę na Tollivera, chciałam jakoś pomóc. Matthew zdarł koszulkę, zwinął ją i przycisnął kłęb do rany.

- Trzymaj tu, idiotko! - rozkazał, a ja posłusznie wykonałam polecenie. Czułam pod palcami, jak gałgan nasiąka krwią. Gdyby Matthew nie pojawił się prawie natychmiast po strzale, byłabym pewna, że to on zrobił. I gdybym jasno myślała. Jednak w tym momencie nie kojarzyłam faktów i nic z tego nie przyszło mi w ogóle do głowy. Tolliver otworzył oczy. Był błydy i oszołomiony.

- Co się stało? - szepnął. - Co się stało? Nic ci nie jest, słonko?

- Nic, nic - uspokoiłam go, z całej siły przyciskając prowizoryczny opatrunek. - Leż spokojnie, kochanie, pomoc już jedzie, słyszysz? - Nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek zwróciła się do Tollivera per „kochanie”. - Zaraz tu będą, pomogą ci, nie jesteś ciężko ranny, wszystko będzie dobrze.

- Czy to była bomba? - mamrotał Tolliver. - Był wybuch? - Jego głos osłabł. - Co się stało, tato? Dlaczego Harper jest ranna?

- Nie martw się o nią, wszystko z nią w porządku - zapewnił go Matthew. - Nic jej nie jest. - Podciągnął koszulkę Tollivera i zaczął badać palcami jego rany.

Oczy Tollivera uciekły w głąb czaszki, a mięśnie twarzy straciły napięcie.

- Jezus Maria! - Niemal cofnęłam ręce, ale ponad ogarniającą mnie panikę wybiła się myśl, że nie mogę tego zrobić. Miałam wrażenie, że trzymam je tak już od wielu godzin. Nie wolno mi było teraz się poddać.

- On nie umarł! - wrzasnął na mnie Matthew. - Nie umarł!

Dla mnie jednak wyglądał jak martwy.

- Nie, nie umarł - wydyszałam. - Żyje. Nie może umrzeć. Nie umrze. To tylko prawe ramię, to daleko od serca. Nie umrze od tego. - Plotłam bzdury, ale w tym momencie nie przejmowałam się tym.

- Nie, nie umrze - powtórzył Matthew.

Już otwierałam usta, żeby na niego nakrzyczeć, ale nawet nie potrafiłam znaleźć żadnych słów. A potem usłyszałam sygnał karetki.

Pod wejściem do pokoju zebrał się tłumek. Ludzie mówili, wykrzykiwali coś, a ktoś wołał do ratowników, wskazując im drogę. Kątem oka dostrzegałam błyski od strony okna. Jedyne, czego w tej chwili pragnęłam, to żeby przyszedł tu ktoś, kto będzie wiedział, co robić, kto pomoże Tolliverowi i powstrzyma to krwawienie.

Krzyki wzmogły się. Wraz z karetką nadjechał radiowóz i policjanci zaczęli odsuwać ludzi od drzwi. Do środka weszli ratownicy, a my z Matthew wstaliśmy, robiąc im miejsce.

Funkcjonariusze wyprowadzili mnie na zewnątrz i zaczęli zadawać pytania. Później nie mogłam sobie nawet przypomnieć ich twarzy.

- Ktoś strzelił do niego przez okno - powiedziała do pierwszej twarzy, która zadała mi pytanie. - Stałam za nim, a ktoś strzelił do niego przez okno.

- Kim jest dla pani ranny?

- Bratem - odparłam machinalnie. - A to jego ojciec. Ale nie mój, tylko jego. - Nie wiem, dlaczego to podkreśliłam, chyba z przyzwyczajenia, bo od wielu lat zawsze podkreślałam, że Matthew Lang nie jest dla mnie żadną rodziną.

- Musi pani jechać do szpitala - rzekła twarz. - Trzeba powymować to szkło.

-Jakie szkło? To był postrzał.

- Ma pani poranioną twarz - tłumaczył cierpliwie policjant. Teraz ujrzałam go wyraźniej. Był starszym, około pięćdziesięcioletnim mężczyzną o brązowych oczach, od których kącików odchodziły promyki kurzych łapek. Miał pełne usta i krzywe zęby. - Trzeba powymować szkło i oczyścić rany.

Przyszło mi do głowy, że może powinnam nosić gogle, skoro tak często jestem narażona na rany od odłamków szkła.

Następne, co pamiętam, to szpital. Siedziałam na kozetce za parawanem, ktoś wyjmował z mojej torebki portfel, żeby spisać dane dla ubezpieczyciela. Jacyś ludzie zadawali mi setki pytań, ale nie mogłam z siebie wydusić słowa. Czekałam, aż pojawi się ktoś, kto powie mi, co z Tolliverem. Do tego czasu nie było sensu się w ogóle odzywać.

Lekarka, która wyciągała szkło, wydawała się nieco przestraszona. Cały czas do mnie mówiła. Może myślała, że mnie to uspokoi.

- A teraz proszę spojrzeć w dół - powiedziała

i wyraźnie odprężyła się, kiedy spuściłam oczy. Chyba przez cały czas się na nią gapiłam. Pragnęłam opuścić teraz ciało i popłynąć korytarzami, by sprawdzić, co dzieje się z moim bratem. Gdybym poprzysięgła, że zostawię go, jeśli tylko przeżyje, czy to by pomogło? Takie umowy, które wymyśla się w chwilach najgorszego strachu, są miarą prawdziwego charakteru. A może tylko pierwotnej natury? Może pokazują, jakim człowiekiem by się było, gdyby nigdy nie korzystało się z poczty, nie dostawało czeków i nie liczyło, że ktoś inny zadba o dostarczenie jedzenia.

Kobieta w różowym fartuchu spytała, czy ma zadzwonić do kogoś i poinformować o wypadku. Wie-działam, że na widok lony czy Hanka zaczęłabym wyć, więc zaprzeczyłam.

Pozwolili z nim iść Matthew. A mnie nie! Kazali mi zostać i wyciągali ze mnie szkło! Byłam tak wściekła, że miałam wrażenie, iż zaraz pęknie mi głowa i eksploduje mózg. Ale nie krzyczałam. Tłumiłam wszystko w sobie.

Gdy lekarka i pielęgniarka skończyły, dały mi proszki, mówiąc, że rany przez jakiś czas mogą bo-leć. Kiwnąwszy głową, ruszyłam wreszcie na poszukiwania Tollivera.

W końcu natknęłam się na siedzącego w poczekalni Matthew. Rozmawiał z policjantem. Kiedy weszłam, na jego twarzy pojawił się wyraz ostrożności.

- To siostra przyrodnia Tollivera – przedstawił mnie, niczym mistrz ceremonii anonsujący gości. - Była z nim w pokoju, kiedy to się stało.

Sądząc po cywilnych spodniach, koszulce i wiatrówce, policjant był detektywem. Bardzo wysoki, postawą przypominał eksfutbolistę, co zresztą później okazało się prawdą. Parker Powers był gwiazdą drużyny szkolnej w Longview, w Teksasie. Dwa lata po podpisaniu kontraktu z Dallas Cowboys doznał kontuzji wykluczającej dalszą karierę sportową. Czyli rzeczywiście był prawie sławą, a w każdym razie znakomitością. Tego wszystkiego dowiedziałam się dzięki Matthew w ciągu zaledwie dziesięciu minut.

Detektyw Powers miał ciemną cerę, błękitne oczy i przycięte krótko, brązowawe, lekko kręcone włosy. Na palcu nosił szeroką obrączkę.

- Kto pani zdaniem mógł strzelać? - zapytał, zaskakując mnie nieco bezpośredniością indagacji.

- Nie mam pojęcia. Przychodzi mi do głowy tylko Matthew, ale to nie był on, bo zbyt szybko pojawił się przy nas.

- Czemu ojciec miałby do was strzelać?

- Bo komu innemu mogłoby zależeć na nas na tyle, by to zrobić? - Od razu zdałam sobie sprawę, że nie jest to zbyt logiczne wyjaśnienie. - Racja, niektórym nie podoba się to, co robimy, ale nikogo nie oszukujemy i nie robimy sobie wrogów. A przynajmniej nic o tym nie wiem. Bo najwyraźniej zaskarbiliśmy sobie czyjaś nienawiść. - Nie wiedziałam, jak policja mogłaby wyciągnąć z tego jakieś sensowne wnioski, ale założyłam, że wiedzą, czym się zajmujemy. Choć nie pamiętałam, bym to wyjaśniała.

Detektyw zadał mi jeszcze szereg rutynowych pytań o to, jak zarabiamy na życie, od jak dawna, ile zarabiamy i na czym polegało nasze najświeższe zlecenie. Nad tym ostatnim musiałam się zastanowić, ale przypomniałam sobie o Joyce'ach i powiedziałam o wizycie siostr w motelu. Nie uradowała go wieść, że mieliśmy do czynienia z tak bogatą i wpływową rodziną.

Do poczekalni wkroczył lekarz - starszy, łysawy mężczyzna o znużonej twarzy. Natychmiast skoczyłam na równe nogi.

- Krewni Tollivera Langa? - Spojrzał na nas. Zamurowało mnie, mogłam tylko czekać. Matthew skinął głową.

- Nazywam się Spradling, jestem chirurgiem ortopedą. Właśnie skończyliśmy operować pana Langa. Cóż, ogólnie mam dobre wieści. Pan Lang otrzymał postrzał z małego kalibru, prawdopodobnie dwadzieścia dwa, karabin lub krótka broń. Kula przeszła przez obojczyk.

Jęknęłam. Nie potrafiłam się powstrzymać. Zachowywałam się głupio.

- Zestawiłem kość za pomocą gwoźdźca. Główne nerwy ani naczynia krwionośne nie uległy uszkodzeniu, więc miał szczęście, o ile można w ogóle mówić o szczęściu w przypadku postrzału. Operacja przebiegła poprawnie. Powinien szybko wrócić do zdrowia. Na razie musi zostać w szpitalu przez dwa, trzy dni, a jeśli rana będzie się goiła bez komplikacji, może wracać do domu. Z tym że czeka go kuracja antybiotykami. Przez tydzień będzie dostawał kroplówkę. Możemy zapewnić pomoc pielęgniarki, ale z tego, co wiem, nie mieszkają państwo tutaj, a pan Lang będzie musiał zostać na czas leczenia. - Przesunął wzrokiem mniej więcej po naszych osobach, czekając na reakcję.

Kiwnęłam gorączkowo głową, aby zapewnić go, że rozumiem, co powiedział.

- Zrobimy wszystko, co będzie trzeba.

- Gdzie się państwo zatrzymaliście, pani Connelly? Bo rozumiem, że mieszkacie razem?

Kątem oka dostrzegłam zmianę na twarzy Matthew i naszła mnie przerażająca myśl, że może zechcieć wykluczyć mnie z opieki nad Tolliverem. Do morza moich lęków dołączył kolejny. Czy dopuściliby mnie w ogóle do Tollivera, gdyby Matthew się sprzeciwił? Musiałam szybko

przebić jego rodzicielską kartę przetargową. Sama zaskoczyłam siebie słowami, które następnie dobieły się z moich ust.

- Żyjemy w konkubinacie. Tu nazywacie to związkiem nieformalnym. - Teksas uznawał trwałe pożycie bez zawarcia małżeństwa, więc pewnie taka nomenklatura tu obowiązywała. - Mamy mieszkanie w St. Louis. Jesteśmy razem od sześciu lat.

Lekarzowi były najwyraźniej obojętne więzy, jakie nas łączyły. Chciał tylko dać wskazówki dotyczące dalszej opieki nad Tolliverem. Jednak kontynuując, zwrócił twarz w moją stronę, adresując wypowiedź do mnie.

- Dobrze byłoby znaleźć jakąś kwaterę w pobliżu szpitala, kiedy go wypiszemy. Jeszcze nie wyszedł zupełnie na prostą, ale myślę, że wszystko będzie dobrze.

- Dobrze. - Powtórzyłam wszystko w myślach. Obojczyk, mały kaliber, żadnych większych uszkodzeń. Trzy dni w szpitalu. Kroplówka z antybiotykami, pielęgniarka może przychodzić do hotelu. Hotelu położonego bliżej szpitala.

-W razie czego mogą się zatrzymać u mnie, mieszkam z ich bratem - rzekł Matthew, a lekarz skinął głową, zupełnie niezainteresowany szczegółami. Mogłam zagwarantować, że to wykluczone, ale nie był to czas ani miejsce na tego rodzaju dyskusje.

- Byle miał porządną, stałą opiekę. Potrzebuje dużo spokoju, wygody. Kilka razy w ciągu dnia musi wstać i się poruszać. Trzeba mu podawać leki, porządne posiłki i żadnego alkoholu - wymienił lekarz. - To wszystko przy założeniu, że sprawy potoczą się tak gładko, jak do tej pory. Jutro będziemy wiedzieli więcej. - Spradling naturalnie ubezpieczał się, żebyśmy nie byli zaskoczeni, gdyby wydarzyło się cokolwiek niespodziewanego.

Przytaknęłam gorliwie, drżąc z niecierpliwości.

- Zostanę z nim na noc - powiedziałam, a medyk, który już odwracał się, aby odejść, popatrzył na mnie współczująco.

- Leży na sali pooperacyjnej i jest stale monitorowany - poinformował mnie. - Na razie się nie obudzi. Lepiej, żeby poszła pani do domu, umyła się, przebrała i wróciła rano. Proszę zostawić numer telefonu, w razie jakichkolwiek zmian skontaktujemy się z panią.

Spojrzałam po sobie. Krew na ubraniu zaschła. Wyglądałam... koszmarnie. Przestałam się dziwić, dlaczego ludzie odwracali wzrok na mój widok. Na dodatek śmierdziałam krwią i strachem. I musiałam przyprowadzić samochód. Czyli pozostawało mi przełamać się i poprosić Matthew, by zawiózł mnie do motelu.

Policja skończyła już oględziny naszego pokoju.

Gdy dowlokłam się do recepcji z zamiarem po-rozmawiania z obsługą, powitała mnie kierowniczką, około pięćdziesięcioletnia Murzynka o krótkich włosach i miłym obejściu. Nie chcąc ryzykować, że ktoś z gości mnie zobaczy, pospiesznie zaprowadziła mnie do kantorka za kontuarem, gdzie posadziła na fotelu i podała kawę, choć nie przypominałam sobie, że bym ją o to prosiła. Do bluzki miała przypiętą plakietkę z imieniem Deniese.

- Pani Connelly - zaczęła serdecznie - za pani zgodą mogę posłać Cynthię do pokoju, aby spakowała państwa rzeczy.

- Dobrze, Deniese - przystałam na propozycję, nie do końca jeszcze pewna, dokąd nas to zaprowadzi. - Byłabym wdzięczna.

Odetchnęła głęboko.

-Jest nam niezwykle przykro z powodu tego, co zaszło, i zrobimy wszystko, aby reszta pani pobytu u nas przebiegła w spokoju. Na pewno ma pani o czym myśleć.

Nareszcie zrozumiałam. Deniese zastanawiała się, czy zamierzamy pozwać motel, i tym sposobem chciała mnie wybadać. Poza tym na pewno też była wstrząśnięta strzelaniną, a jej żal wydawał się szczery.

Po wydaniu dyspozycji Cynthii i odesłaniu jej do zrujnowanego pokoju po rzeczy - ulżyło mi, gdy Matthew zaproponował, że pójdzie z nią - Deniese przeszła do konkretów.

- Pewnie nie będzie pani chciała u nas zostać, ale gdyby się pani zdecydowała, byłoby nam niezwykle miło panią gościć.

To wydało mi się odrobinę mniej szczere, ale trudno ją było winić.

-Jeśli postanowi pani zostać, zapewnimy pokój o tym samym standardzie, oczywiście bezpłatnie. Choć w ten sposób chcielibyśmy zrekompensować te... niedogodności.

Prawie się uśmiechnęłam.

- Lekkie niedopowiedzenie - rzekłam. - Owszem, chciałabym zostać na noc, jednak wymelduję się zaraz z rana. Muszę znaleźć coś bliżej szpitala.

-Jak się czuje pan Lang? Zapewniłam ją, że wyzdrowieje.

- To wspaniałe nowiny! - Ulżyło jej zapewne z wielu powodów, ale nie wzięłam jej tego za złe.

Ustaliwszy sytuację motelowo-prawną, marzyłam już tylko o tym, aby znaleźć się w pokoju i dopaść łazienki. Kierowniczką zadzwoniła do Cynthii na komórkę, każąc jej przenieść rzeczy prosto do pokoju dwieście trzy.

- Pomyślałam, że lepiej się pani poczuje na piętrze - wyjaśniła po zakończeniu rozmowy.

- Dziękuję. - Zadrżałam na wspomnienie czarnego okiennego otworu. Bolała mnie twarz oraz ramiona, byłam pokryta smugami i plamkami zaschniętej krwi. Teraz, kiedy wiedziałam, że Tolliver wyzdrowieje, napięcie opuściło mnie i nagle poczęłam się trząść.

Do kantorka wszedł Matthew.

- Rzeczy są już w twoim pokoju. W torebce chyba też niczego nie brakuje.

Nie podobało mi się, że Matthew miał dostęp do mojej torebki, ale trzeba przyznać, że naprawdę nam dzisiaj pomógł, więc coś za coś. Podziękowałam Deniese za uprzejmość i z kartą w ręku ruszyłam z Matthew do windy.

- Dzięki - powiedziałam, mijając rząd automatów z przekąskami i lodem. Idąca po schodach para obrzuciła spojrzeniami moją umazaną krwią osobę i pospieszyła do swojego pokoju.

- Nie ma sprawy. Usłyszałem strzał i twój krzyk.

Nie wiedziałem nawet, że potrafię tak szybko biegać. - Zaśmiał się. Nie zdawałam sobie sprawy, że krzyczałam.

- Widziałeś kogoś na parkingu?

- Nie. I doprowadza mnie to do szału, bo strzelec musiał być gdzieś obok.

Odłożyłam myślenie o tym na później.

- Cóż, w takim razie do zobaczenia jutro w szpitalu. O ile dasz radę wpaść - rzekłam, marząc tylko, żeby zostać sama.

- Mam zadzwonić do lony?

- Nie! - zaprzeczyłam.

Roześmiał się, wydając krótkie, urywane dźwięki, zupełnie jak Tolliver.

- Nie obraż się, ale jesteś bardzo zależna od mojego syna.

Celność tej oceny wzbudziła we mnie gwałtowny gniew.

- Tolliver jest moim kochankiem i moją rodziną.

Trzymamy się razem od wielu lat. W ciągu których cię nie było.

- Ale powinnaś być trochę bardziej samodzielna - oświadczył Matthew pewnym tonem osoby, która miała do czynienia z terapią. A ponieważ starał się mówić łagodnie, rozłościło mnie to jeszcze bardziej. Może nie jestem nie wiadomo kim, ale wbrew pozorom nie jestem aż tak krucha. A jeśli nawet, to Matthew nic do tego.

- Nie masz prawa mówić mi, jak mam żyć i jaka mam być. W ogóle nie masz żadnych praw wobec mnie, nigdy ich nie miałeś i nie będziesz miał. Doceniam to, że nam dzisiaj pomogłeś. Cieszę się, że wreszcie zrobiłeś coś dla swojego syna, szkoda tylko, że musiał zostać do tego postrzelony. A teraz już idź, muszę wziąć prysznic. - Wsunęłam kartę w czytnik i drzwi otworzyły się, ukazując wnętrze. Zapalone lampy wypełniały pokój przyjemnym światłem w środku było ciepło, a przy łóżku stały nasze bagaże.

Matthew kiwnął głową i odszedł bez słowa. Na szczęście. Spojrzawszy na torbę Tollivera, zaczęłam płakać, ale zmusiłam się, aby iść do łazienki. Zrzuciłam zakrwawione ubranie i wzięłam prysznic, ostrożnie myjąc pokaleczone ciało. W końcu założyłam piżamę.

Zadzwoiłam do szpitala, ale stan Tollivera nie zmienił się. Przypomniałam pielęgniarkom, żeby dzwoniły, gdyby cokolwiek się wydarzyło. Wstawiłam telefon do ładowarki, położyłam się i czekałam, aż zadzwoni. Nie zadzwonił. Nie zadzwonił przez całą noc.

Rankiem, zahaczywszy o McDonalda, zdałam sobie sprawę, że muszę skontaktować się z łona. Inaczej dowie się wszystkiego z gazet. Nie spodziewałam się po niej niczego szczególnego, a poza tym sama konieczność opowiadania się komukolwiek wydała mi się dziwaczna. Przywykliśmy z Tolliverem liczyć tylko na siebie. Gdybyśmy nie znajdowali się w ich miejscu zamieszkania, w ogóle nie brałabym pod uwagę informowania łony o incydencie.

Do szpitala dotarłam wcześniej. Zajrzałam do sali, ale Tolliver nadal spał, więc wróciłam do poczekalni, żeby zadzwonić. Zasięg w budynku był dość słaby, dlatego wyszłam na zewnątrz, dołączając do grupki palaczy. Dzień był chłodny, ale pogodny, a niebo zachwycało czystym błękitem.

Zerknąwszy na zegarek, doszłam do wniosku, iż jest szansa, że łona nie poszła jeszcze do pracy. Ciotka nie była zachwycona porannym telefonem, tym bardziej ode mnie.

- Wczoraj wieczorem Tolliver został postrzelony - oświadczyłam bez wstępów. Po drugiej stronie zapadło chwilowe milczenie.

- W jakim jest stanie? - odezwała się w końcu ciotka, nadal naburmuszona.

- Wyzdrowieje. Leży już na zwykłej sali, w szpitalu God's Mercy. Miał operację obojczyka. Lekarz uważa, że będzie mógł wyjść za dwa, trzy dni.

- Dobrze. Chyba nie powinnam teraz mówić o tym dziewczynkom. Zresztą. Hank i tak zabrał je już do szkoły. Powiem im, jak wrócą.

-Jak ci pasuje. Muszę zadzwonić do Marka. Na razie. - Zatrzasnęłam telefon rozżalona i zła. Nie żebym chciała przysporzyć siostrom zmartwień, szczególnie po wczorajszych wydarzeniach na wrotkowisku. Po prostu drażniło mnie, że każdy kontakt z nimi był cenzurowany i wymagał przejścia obok trolla pilnującego mostu wiodącego do dziewczynek. Ech, chyba wykazywałam się daleko idącą niewdzięcznością, stosując takie porównanie wobec Iony. Powinnam się cieszyć, że ona i Hank na co dzień okazywali ogromną cierpliwość, jaka była przecież niezbędna do wychowywania dzieci pochodzących z patologicznej rodziny.

Mimo to utrzymywanie z nią poprawnych relacji było istną orką na ugorze.

Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że Tolliver może mieć rację w kwestii ograniczenia kontaktów z siostrami tylko do bardzo sporadycznych wizyt i posyłania okazjonalnych podarunków.

Głos Marka, bardzo zaspany, przywrócił mnie do rzeczywistości. Pracował wczoraj do późna, więc był mało przytomny, ale upewniłam się, że przyjął do wiadomości informacje o wieczornych wydarzeniach oraz zapamiętał nazwę szpitala. Obiecał, że postara się odwiedzić brata trochę później.

Po telefonach wróciłam do sali i usiadłam przy Tolliverze. Miałam co prawda ze sobą książkę, ale nie byłam w stanie skupić się na fabule. W końcu odłożyłam ją i przeniostałam spojrzenie na śpiącego ukochanego.

Tolliver rzadko chorował, a poważnie ranny nie był nigdy. Opatrunki i rurki od kroplówek sprawiały, że wyglądał obco, zupełnie jakby ktoś inny wkradł się w jego ciało. Wpatrywałam się w niego, pragnąc, by otworzył oczy i usiadł, by odzyskał swój zwykły wigor.

Oczywiście nie zadziało.

Zdawałam sobie sprawę, że tym razem ja, dla odmiany, muszę być silna. Teraz, gdy on był bezbronny, musiałam zatroszczyć się o niego i o nas. Dobrze, że ustaliliśmy kilkudniowy pobyt w Teksasie, ponieważ dzięki temu wiedziałam, że nie mamy zaplanowanych żadnych zleceń na najbliższy czas. Mimo to i tak czekało mnie sprawdzenie nowych wiadomości mejlowych. Będę musiała teraz zająć się WSZYSTKIM. Bałam się, że nie podołam, że zapomnę o czymś bardzo ważnym. Z drugiej strony, co mogłoby być teraz aż tak ważnego? Wystarczy, że nie przegapię żadnego umówionego spotkania i przypilnuję, żeby bak był pełny, a wszystko będzie dobrze.

W pewnej chwili do sali przyszedł doktor Spradling. Tolliver poruszał się od pewnego czasu, podejrzewałam więc, że wkrótce się obudzi. Tego ranka lekarz wyglądał na jeszcze starszego i bardziej zmęczonego niż wczoraj. Skinąwszy mi na powitanie, podszedł do łóżka.

- Panie Lang? - powiedział przenikliwym głosem. Tolliver otworzył oczy. Omijając wzrokiem lekarza, spojrzął prosto na mnie, a napięcie wokół jego ust wyraźnie zelżało.

- Jak się czujesz? - zapytał.

Przysłuchując się naszej konwersacji, doktor Spradling sprawdzał kartę pacjenta i zaglądał Tolliverowi w oczy.

- Boli mnie ramię. Co ci się stało? - pytał Tolliver. - Okno poszło w drzazgi. Ktoś cisnął w nie cegłą? Masz poranioną twarz.

- Zostałeś postrzelony - rzekłam, nie mając pomysłu, jak ująć to oględniej. - Mnie nic się nie stało, to tylko zadrapania od odłamków szkła. Ty też wyszedłeś z tego w miarę obronną ręką.

- Nic nie pamiętam - przyznał Tolliver oszołomiony. - Postrzał?

- Przypomni sobie wkrótce - orzekł lekarz. Popatrzyłam na niego, mruganiem usiłując powstrzymać łzy. - Chwilowa utrata pamięci w takich wypadkach jest normalna. - Poczułam wdzięczność, że stara się nas uspokoić. - Muszę spojrzeć na pańską ranę, panie Lang. - Natychmiast dołączyła do nas pielęgniarka, a kilka następnych minut było naprawdę nieprzyjemnych. Po powtórny opatrzeniu Tolliver był wykończony.

- Wszystko w porządku - ocenił lekarz. - Proces gojenia przebiega zgodnie z przewidywaniami.

- Fatalnie się czuję - przyznał Tolliver, ale w jego głosie nie brzmiała skarga, a troska.

- Postrzał to poważna sprawa. - Lekarz zerknął na mnie z lekkim uśmiechem. - To nie tak, jak w telewizji, gdzie dzielny detektyw wyskakuje zaraz z łóżka i rzuca się ścigać jakiegoś draba.

Tolliver chyba nie do końca rozumiał słowa lekarza, bo miał dość niepewną minę. Spradling zwrócił się do mnie.

-Jutro jeszcze musi tu zostać, a pojutrze zobaczymy. Możliwe, że ramię będzie wymagało rehabilitacji.

-Ale odzyska pełnię władzy? - Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że miałam większe powody do zmartwień, niż przypuszczałam.

- O ile wszystko pójdzie dobrze, prawdopodobnie tak.

- Ach - wyrwało mi się. Teraz przytłaczała mnie niepewność. -Jak mogę pomóc?

Lekarz wydawał się w tej chwili tak samo zagubiony jak Tolliver. Najwyraźniej uważał, że nie mogą zrobić nic prócz zapłacenia rachunku.

- Wszystko zależy od pani partnera.

Na dzień dzisiejszy zniechęciłam wszystkich lekarzy, skoro jeden z nich nie mógł udzielić mi jasnej wskazówki. Logika podpowiadała mi, że Spradling jest tylko realistą i że powinnam docenić jego szczerość. Ale logika zajmowała dzisiaj miejsce pasażera, kierowały emocje. Zdołałam jednak powściągnąć nerwy i Spradling wyszedł, machając mi wesoło na pożegnanie. Tolliver, wciąż oszołomiony po narkozie, odplynął znowu. Reagował co prawda na głośniejsze dźwięki dochodzące z korytarza, ale nie otwierał oczu. Nie bardzo wiedziałam, za co się zabrać. Patrzyłam na Tollivera, usiłując ułożyć plan, jakikolwiek plan, kiedy w progu stanęła Victoria Flores.

Victoria dobiegała trzydziestki. Była funkcjonariuszką teksańskiej policji los obdarzył piękną, kobiecą figurą. Jeśli chodzi o strój, miała własny styl. Nigdy nie widziałam jej w niczym innym poza kostiumem i szpilkami. Niesforne włosy, przycięte na pazia, zaczesywała gładko, a w uszach nosiła złote kolczyki, których gabaryty ocierały się o ekscentryzm. Spod kostiumu w kolorze zgaszonej czerwieni, wyglądała spłowiała kremowa bluzka.

- Co z nim? - zapytała, wskazując brodą nieruchomą sylwetkę na łóżku. Żadnych wstępów, powitań, uścisków dłoni. Victoria przechodziła wprost do rzeczy.

- Został dość poważnie ranny. Ma strzaskaną kość. - Wskazałam swój obojczyk. - Ale lekarz twierdzi, że po rehabilitacji wróci do pełnej sprawności. Jeśli nic po drodze nie wyskoczy.

Victoria prychnęła. - Jak to się stało?

Opowiedziałam jej wieczorne wydarzenia.

- Czym się ostatnio zajmowaliście?

- Sprawa Joyce'ów, wiesz.

- Mam się z nimi spotkać przed południem.

Nie opowiedziałam Victorii szczegółów zlecenia na cmentarzu, bo Joyce'owie nie dali mi na to pozwolenia, ale nakreśliłam jej ogólną sytuację. Wiedziała także, że siostry odwiedziły nas w motelu.

- To pewnie najbardziej prawdopodobna przyczyna strzelaniny - oceniła Victoria. - A wcześniejsze zlecenie?

- Pamiętasz tę niedawna sprawę seryjnego zabójcy chłopców w Północnej Karolinie? Tę, gdzie ofiary były pochowane w jednym miejscu?

- Tak. To wy? Ty ich znalazłaś?

- Uhm. Prawdziwy koszmar. Sprawa była głośna, a my w centrum zainteresowania, i to w większości niezbyt pozytywnego. - Poczta pantoflowa sprawdzała się lepiej, jeśli chodzi o zlecenia płatne. Media powodowały nagły wzrost zainteresowania, ale takie przyciąganie uwagi cieszyło tylko ludzi pragnących zbadać nierozwiązane, głośne sprawy. Tym gotowym wyłożyć duże pieniądze nieszczęśliwie zależało na rozgłosie w okolicy.

- Myślisz więc, że to mogły być echa tamtego zlecenia?

- Wiesz, w zasadzie teraz, jak się nad tym zastanawiam, to raczej mało prawdopodobne.

Tolliverowi przydałoby się golenie. I powinnam go uczesać. Nie miałam pojęcia, co jeszcze mogłabym dla niego zrobić.

Wyglądał tak bezradnie. I był bezradny. Teraz ja powinnam go bronić i być dzielna.

- Te morderstwa w Północnej Karolinie wstrząsnęły ludźmi, i to mocno - rzekła Victoria z namysłem. Chyba naprawdę wierzyła, że atak na Tollivera miał coś wspólnego z tamtą sprawą, jedyną masową zbrodnią, z którą mieliśmy do czynienia.

- Ale sprawców ujęto. Dlaczego ktoś miałby do nas strzelać, skoro pomogliśmy w ich złapaniu?

- Na pewno nie było ich więcej? Tylko dwóch?

- Na pewno. Policja też tak twierdzi. Uwierz, to było bardzo dokładne śledztwo. Proces się jeszcze co prawda nie odbył, ale oskarżyciel jest pewny wyroku skazującego.

- Okej. - Victoria spoglądała przez chwilę na Tollivera. - W takim razie albo macie prześladowcę, albo jest to powiązane ze zleceniem Joyce'ów. - Zawiesiła na moment głos. - W sprawie Cameron już od dawna nie wyłynęło nic nowego, więc zakładam, że jest zbyt stara, by miała z tym jakiś związek.

- Też tak myślę - przytaknęłam. - Raczej stawiałabym na Joyce'ów. Jeśli zgodzą się na wyjawienie ci wszystkiego, chętnie to zrobię. Choć nie ma zbyt wiele do opowiadania.

Victoria sięgnęła po komórkę i wybrała numer. Byłam przekonana, że nie powinna dzwonić z sali. Po chwili rozmowy podała mi aparat.

- Halo? - powiedziałam.

-Tu Lizzy Joyce.

- Witam. Czy mam przekazać wszystkie informacje Victorii?

- Widzę, że dba pani o etykę zawodową. Tak, ma pani moje pozwolenie. - Czyżbym wychwyciła w jej głosie rozbawienie? Kwestie moich zasad moralnych nie wydawały mi się czymś śmiesznym. – Przykro mi z powodu pani menedżera - ciągnęła Lizzy. - Rozumiem, że to stało się w tym motelu, gdzie spotkaliśmy się ostatnio? Mój Boże! Co za koszmar. Myśli pani, że to przypadek?

Moja pamięć zaskoczyła nagle.

- Policja wspominała o innej strzelaninie kilka przecznic dalej, więc to możliwe. Ale jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Cóż, naprawdę bardzo mi przykro. Jeśli mogłabym jakoś pomóc, proszę dać znać.

Ciekawe, na ile szczerą była ta propozycja. Prze-mknęło mi przez głowę kilka zdań... „Pobyt w szpitalu jest bardzo kosztowny, bo mamy fatalne ubezpieczenie. Mogliby państwo zająć się rachunkiem? A przy okazji, będzie też kolejny, z rehabilitacji. Była-bym wdzięczna". Jednak podziękowałam tylko i od-dałam telefon Victorii.

Do tej pory zbyt pochłaniały mnie inne troski, by martwić się o finanse. Czekając, aż Victoria skończy rozmowę, pogrążyłam się w ponurych myślach. Dopiero teraz ujawnił mi się pełny obraz sytuacji. Postrzał oznaczał koniec naszych marzeń o domu, a przynajmniej odwlekał wszystko w nieokreśloną przyszłość.

Dziesięć minut temu nie uwierzyłabym, że mogę wpaść w jeszcze większe przygnębienie.

Zdałam Victorii relację ze spotkania na cmentarzu Pioneer Rest. Zadała mi masę pytań, na które nie umiałam odpowiedzieć, ale na końcu wydawała się usatysfakcjonowana każdym wydartym ode mnie okruczem wiedzy.

- Mam nadzieję, że spełnię ich oczekiwania - rzekła, chwilowo przytłoczona własnymi obawami. - Trudno uwierzyć, że zwrócili się do mnie zamiast do jakiejś dużej agencji. Choć teraz w pełni to rozumiem.

- Trudno ci było po przeprowadzce tutaj? - zapytałam.

- To zależy. Z jednej strony jest więcej pracy, ale z drugiej większa konkurencja. Na pewno lepiej, że mieszkam bliżej mamy. Pomaga mi bardzo z córką. Szkoła Mari Carmen jest lepsza niż ta poprzednia, a dojazd do Texarkany nie jest znów tak tragiczny.

Nadal załatwiam tam sporo spraw i mam kontakty, a droga zabiera mi nie więcej niż dwie i pół, trzy godziny, w zależności od ruchu i pogody.

- Nie znajdziemy Cameron, prawda? - Popatrzyłam na nią.

Zawahała się.

- Nigdy nie wiadomo. Zawsze jest szansa, że coś nagle wyskoczy. Nie zwodziłabym was, przecież wiesz.

Skinęłam głową.

- Zawsze mam to na uwadze - ciągnęła Victoria. - Przez te wszystkie lata, od chwili kiedy przyszedłam do waszej przyczepy i rozmawiałam z Tolliverem... Wtedy byłam ścieżynką, wydawało mi się, że odnajdę ją raz-dwa i dzięki temu wyrobię sobie dobrą opinię. Przeliczyłam się. Jednak nawet teraz, kiedy jestem już na swoim, nadal jej szukam przy każdej okazji.

Zacisnęła powieki. Ja także.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po wyjściu Victorii usiadłam na krześle u stóp łóżka szpitalnego. Noga znów odmawiała mi posłuszeństwa. Ta sama, którą pewnego popołudnia przeszył piorun. Gotowałam się na randkę, to był piątkowy czy może sobotni wieczór. Odkrycie, że nie pamiętam już dokładnie okoliczności, było dla mnie sporym szokiem.

Przypominałam sobie jedynie, że stałam przed lustrem, kręcąc włosy na lokówce podłączonej do gniazdka nad umywalką. Piorun wpadł przez okno łazienkowe. W następnej chwili leżałam na plecach, na wpół w drugim pomieszczeniu. Tolliver mnie reanimował, ratownicy odrywali go ode mnie, Matthew na nich wrzeszczał, a Mark starał się uciszyć ojca.

Matka leżała nieprzytomna w sypialni. Widziałam ją kątem oka, rozciągniętą na łóżku. Jedno z dzieci płakało wniebogłosy, chyba Mariella. Cameron stała, przyciskając się do ściany w korytarzyku, oszalała z rozpacz, z twarzą mokrą od łez. W powietrzu unosił się dziwny zapach. Włoski na moim prawym ramieniu były prawie całkiem spalone.

- Brat właśnie uratował ci życie - powiedział pochylający się nade mną starszy mężczyzna. Jego głos dochodził jakby z oddali i brzęczał.

Chciałam odpowiedzieć, ale wargi odmawiały mi posłuszeństwa. Zdołałam tylko mrugnąć.

- Dzięki ci, Jezu - wykrztusiła niewyraźnie Cameron.

Scena z przyczepy wydawała mi się bardziej realna niż szpitalne otoczenie. Potrafiłam przywołać niezwykle wyraźny obraz Cameron: długie, proste, jasne włosy i brązowe oczy, po ojcu. Nie byłyśmy do siebie podobne, nawet przelotne spojrzenie wystarczyło, by dostrzec różnice - odmienny kształt twarzy i inny wykrój oczu. Cameron miała piegi na nosie, była niższa i bardziej krępa. Obie osiągałyśmy dobre wyniki w nauce, ale to ją bardziej lubiano w szkole. Zapracowała sobie na to. Cameron radziłaby sobie jeszcze lepiej, gdyby nie pamiętała tak dobrze lat spędzonych w pięknym domu w Memphis, gdzie dorastałyśmy, nim rodzice nie stoczyli się na dno piekła. Tamte wspomnienia zmuszały ją do ciągłego, mozolnego trudu, by uzyskać podobieństwo do przechowywanego w głowie obrazu. Do szału doprowadzało ją, jeśli nie wyglądaliśmy wystarczająco czysto, schudnie i dostatnio. Podobnie jak do szału doprowadzała ją myśl, że ktoś mógłby zacząć podejrzewać, jak naprawdę wygląda nasz dom i życie. To dążenie do zachowania pozorów w szkole sprawiało, że głucho na rozsądne argumenty. Prawdę mówiąc, czasem ciężko z nią szło wytrzymać. Ale była całkowicie oddana rodzeństwu: i temu spokrewnionemu, i temu przy-branemu. Jej determinacja w pragnieniu odpowiedniego wychowania Marielli i Gracie równała się tej, z jaką starała się dorównać wyblakłym wspomnieniom naszych lepszych czasów. Cameron nie ustawała w wysiłkach, aby nasza przyczepa wyglądała czysto i porządnie, a ja byłam w tej walce jej adiutantem.

Spotkanie z Victorią obudziło wiele duchów przeszłości. Tolliver nadal spał, a ja myślałam o tych wszystkich latach, kiedy nieustannie spodziewałam się ujrzeć nagle siostrę. Wyobrażałam sobie, że odwracam się w sklepie, a ona jest kasjerką przyjmującą ode mnie zapłatę. Albo że jest prostytutką stojącą nocą na rogu ulicy. Albo młodą matką pchającą wózek - tą z długimi, jasnymi włosami.

Ale nigdy tak nie było.

Raz nawet zaczepiłam dziewczynę, pytając, czy nie ma na imię Cameron, bo byłam przekonana, że to moja siostra, trochę starsza i znużona. Przestraszyłam ją. Oddaliłam się pospiesznie, wiedząc, że jeśli nie ustąpię, wezwie policję.

W tych wszystkich fantazjach nie było miejsca na kwestie, dlaczego Cameron w ogóle miała to swoje drugie życie ani czemu nie dała znaku przez te wszystkie lata.

Początkowo myślałam, że porwał ją jakiś gang albo handlarze żywym towarem, że spotkało ją coś brutalnego. Później przyszło mi do głowy, że może po prostu miała dość takiego życia, w obskurnej przyczepie, z rodzicami narkomanami, kulawą siostrą o błędnym spojrzeniu i dwoma maluchami, które wiecznie się brudziły.

Najczęściej jednak byłam pewna, że nie żyje.

Z przykrego zadumy wyrwało mnie nieoczekiwane pojawienie się jednego z detektywów, którzy wczoraj przyjechali na miejsce zdarzenia.. Wsunął się cicho do sali i teraz stał nad Tolliverem.

-Jak się pani czuje, pani Connelly? - zapytał głosem, który nie wzbudził prawie żadnego ruchu powietrza, był taki cichy i jednostajny.

Wstałam, bo zdenerwowała mnie ta jego bezszelestność i szeptanina. Nie był specjalnie wysoki, nieco ponad metr siedemdziesiąt, mocno przysadzisty, miał gęste wąsy poprzetykane siwizną. Był typowym przeciętniakiem, wręcz przeciwieństwem swojego partnera, Parkera Powersa. Usiłowałam przypomnieć sobie, jak się nazywa. Rudy Cośtam. Rudy Flemmons.

- W porównaniu do brata, świetnie - odparłam, wskazując brodą na łóżko. - Macie już jakieś podejrzenia co do sprawcy?

- Na parkingu znaleźliśmy niedopałki, ale mogą należeć do kogokolwiek. Zabezpieczyliśmy je jednak, w razie gdybyśmy zdobyli jakiś materiał porównawczy. Zakładając, że technikom uda się wyodrębnić jakieś DNA. - Przez chwilę przypatrywaliśmy się Tolliverowi. Otworzył na moment oczy, uśmiechnął się i znów zapadł w sen.

- Uważa pani, że to do niego strzelano?

- Przecież został trafiony - powiedziałam, trochę zaskoczona pytaniem. Przecież to jasne, że strzelec celował w Tollivera.

- A może chciał trafić panią? - podsunął Rudy Flemmons.

- Dlaczego? - zabrzmiało to głupio. - Znaczy, dlaczego ktoś miałby do mnie strzelać? Chce pan powiedzieć, że Tolliver dostał kulę, która powinna trafić mnie?

- Mówię, że MOŻE chciał trafić panią, a nie, że POWINIEN trafić panią.

- A na jakiej podstawie opiera pan tę teorię?

- To pani gra pierwsze skrzypce w tym duecie.

Brat tylko pani pomaga. Pani jest ważniejsza. Z tego względu zamach na panią jest bardziej prawdopodobny niż na pana Langa. Rozumiem, że nie ma partnerki?

To najdziwniejszy policjant, z jakim zdarzyło mi się rozmawiać.

Westchnęłam. Znów się zaczynało.

-Ma.

-Jak się nazywa? - Flemmons wyjął notes.

- To ja.

Spojrzał na mnie skonfundowany.

- Słucham?
- Tolliver nie jest naprawdę moim bratem. - Męczyło mnie to wyjaśnianie naszych relacji.
- Ach tak, nie macie wspólnych rodziców. - Widać zebrał informacje o nas.
- Właśnie. Jesteśmy partnerami. W każdym znaczeniu tego słowa.
- W porządku. Rano dostałem interesujący telefon. - Flemmons nagle zmienił temat. Natychmiast zrobiłam się czujna.
- Tak? Od kogo?
- Od detektywa z texarkańskiej policji, Petera

Greshama. To stary znajomy.

-I co panu powiedział? - Westchnęłam. Nie miałam ochoty wysłuchiwać powtórki sprawy zniknięcia mojej siostry. Ten dzień i tak upływał już pod znakiem żałoby po Cameron.

- Że był telefon w sprawie pani siostry.

-Jakiego rodzaju telefon? - Na świecie jest więcej świrów, niż dopuszcza ustawa.

- Ktoś widział ją w centrum handlowym.

Na moment zabrakło mi tchu. Potem powie-trze zalało moje płuca tak gwałtownie, że aż jęknęłam.

- Cameron? Kto ją widział? Ktoś, kto ją znał?

- To był anonimowy telefon.

- Och. - Czułam, jakby ktoś grzmotnął mnie w brzuch. - Ale... Jak sprawdzić, czy to prawda? Jest taka możliwość?

- Pamięta pani Pete'a Greshama? Prowadził śledztwo w sprawie pani siostry.

Przytaknęłam. Pamiętałam go, choć niezbyt wyraźnie. Patrząc wstecz, dni po zniknięciu Cameron zlewały mi się w jedno pasmo zmartwień. - Duży facet - powiedziałam i dodałam już mniej pewnie: - Zawsze chodził w kowbojkach? I łysiał, choć był na to zdecydowanie za młody.

- Tak, to on. Teraz jest całkiem łysy. Myślę, że po prostu goli te marne resztki, które przypadkiem zapłaczą mu się na czaszkę.

-I co? Zrobił coś w sprawie tej informacji?

- Przejrzał nagrania ochrony.
- Mają monitoring w centrum?
- Gdzieś i całkiem sporo na parkingu, jak mówił Pete.
- Widział ją? - Bałam się, że jeszcze chwila i zacznę do niego wrzeszczeć.
- Widział kobietę ogólnie pasującą do opisu pani siostry, ale zdjęcie było zbyt niewyraźne, aby stwierdzić, czy to była Cameron Connelly.
- Mogę obejrzeć to nagranie?
- Zobaczą, co się da zrobić. W normalnych okolicznościach pewnie chciałyby pani osobiście jechać do Texarkany, ale ze względu na stan pana Langa, który zapewne będzie wymagał pobytu w szpitalu, może uda się nam pokazać je pani u nas.
- Byłoby wspaniale. Droga tam i z powrotem zajęłaby mi sporo czasu, a nie powinien zostawać na tak długo sam. - Zachowanie spokoju kosztowało mnie wiele wysiłku.

Impulsywnie ujęłam dłoń Tollivera. Była zimna. Postanowiłam poprosić pielęgniarkę o dodatkowy koc.

- Hej - powiedziałam, pochylając się nad Tolliverem. - Słyszałeś, co powiedział detektyw?
- Trochę - wymamrotał Tolliver niewyraźnie, ale udało mi się go zrozumieć.
- Ściągnij tu zapis z kamer centrum, żebym mogła go zobaczyć na miejscu. Może wreszcie trafimy na jakiś ślad. - Niewiarygodne, ale nie dalej jak godzinę temu właśnie o tym rozmawialiśmy z Victorią.
- Nie rób sobie nadziei - ostrzegł Tolliver wyraźniej. - Już tak bywało.

Nie chciałam teraz rozpamiętywać poprzednich fałszywych tropów.

- Wiem, ale może tym razem będziemy mieć szczęście?
- Nawet jeśli, nie będzie już taka sama, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? - Tolliver otworzył wreszcie oczy i spojrzał przytomniej. - Nie będzie taka, jak kiedyś.

Pospiesznie powściągnęłam emocje.

- Tak, wiem. - Nie byłaby taka, jak kiedyś. Minęło zbyt wiele lat. Dzieliło nas zbyt wiele bólu, zbyt wiele... wszystkiego.

-Jeśli chcesz jechać do Texarkany... - zaczął Tolliver.

- Nie, nie zostawię cię - przerwałam mu.

-Jeśli to konieczne, jedź - powtórzył.

- Dzięki. Ale nie ruszę się stąd nigdzie, dopóki nie wyjdiesz ze szpitala. - Nie mogłam uwierzyć, że to powiedziałam. Tyle lat czekałam na jakiegokolwiek wieści o siostrze. A teraz, kiedy pojawił się ślad, aczkolwiek mało prawdopodobny i niewiarygodny, właśnie oświadczyłam, że nie rzucę wszystkiego, żeby go sprawdzić.

Usiadłam na krześle i pochyliłam się, opierając czoło na pościeli. Nigdy nie czułam się bardziej rozdarta.

Detektyw Flemmons przysłuchiwał się naszej rozmowie z obojętną miną. Zachował zdanie dla siebie, za co byłam mu wdzięczna.

- Dam pani znać, gdy będziemy gotowi – rzekł na pożegnanie.

- Dziękuję - wykrztusiłam nieco odrętwiała.

- Tak miało być - odezwał się Tolliver po wyjściu policjanta.

-Co?

- Dostałaś kulę przeznaczoną dla mnie, a jeśli on ma rację, teraz jest na odwrót. Myślisz, że to ty byłaś celem?

- Uhm, z tym że mnie ledwie drasnęła, ten strzelec miał lepsze oko.

- Tak, najwyraźniej do mnie strzelają ci lepsi.

- Te leki muszą być niezłe.

- Genialne - przyznał sennie.

Uśmiechnęłam się. Tolliver rzadko bywał tak odprężony. Nie chciałam na razie myśleć więcej o Cameron, bo sama nie wiedziałam, czego sobie życzyć. Rozległo się pukanie i nim zdążyliśmy odpowiedzieć, do sali wszedł Matthew. W jednej chwili przyjemny nastrój poszedł w diabły.

Matthew wyglądał na zmaltretowanego, co nie było dziwne, skoro nie spał wczoraj do późna, a dzisiaj, jak wspomniał, szedł na ranną zmianę. Zdążył jednak wziąć po pracy prysznic, bo nie roztaczał wokół siebie specyficznej woni McDonalda.

- Twój ojciec bardzo mi wczoraj pomógł - zwróciłam się do Tollivera, czując, że powinnam oddać mu sprawiedliwość. - I został w szpitalu, póki nie upewnił się, że jest z tobą lepiej.

-Jesteś pewna, że jego pomoc nie rozciągała się też na umieszczenie we mnie kulki?

Gdybym nie mieszkała kiedyś z Matthew Langiem, byłabym zszokowana takim przypuszczeniem. Sam Matthew wydawał się do głębi nim zraniony. -Jak możesz tak w ogóle mówić, synu? - powiedział, jednocześnie zły i rozżalony. - Wiem, że nie jestem najlepszym ojcem...

- Nie najlepszym? Nie pamiętasz, jak przystawiłeś Cameron lufę do skroni, grożąc, że rozwalisz jej mózg, jeśli nie powiem, gdzie schowałem wasz to-war?

Matthew przygarbił się wyraźnie. Chyba udało mu się wyrzucić z pamięci ten mały incydent.

-I ty pytasz, czemu cię podejrzewam? - Gdy-by Tolliver nie był tak osłabiony, jego ton kipiałby od gniewu. Zamiast tego jego słowa brzmiały tak smutno, że chciało mi się płakać. - To raczej naturalne, TATO.

- Nie zrobiłbym tego - bronił się Matthew. - Kochałem Cameron. Tak jak was wszystkich. Byłem ćpunem, Tolliverze. Byłem cholernym popaprańcem, wiem. Ale teraz jestem czysty i trzeźwy i proszę cię o wybaczenie. Przysięgam, że tym razem nie nawalę.

- Słowa to za mało. - Zmartwiona, zerknęłam na Tollivera. Pięć minut w towarzystwie ojca, a wyglądał na wykończonego. - Skoro już mówimy o miłych wspomnieniach, też mogłabym kilka wymienić. Wczoraj byłeś... w porządku. Świetnie. Ale to tylko kropla w morzu.

Matthew zasmucił się. Zrobił oczy spaniela, nie-winne i wilgotne od tkliwych uczuć.

Ani przez moment nie wierzyłam w tę jego przemianę. Choć, musiałam przyznać, bardzo jej chciałam. Gdyby ojciec Tollivera naprawdę się zmienił, starał się kochać syna i szanować, jak ten na to za-sługiwał, naprawdę byłabym szczęśliwa.

W następnej sekundzie złażałam się za sentymentalizm, za to, że tak poddałam się mu choćby na tyle. Tolliver był przecież ranny i słaby, dlatego ja powinnam wykazać się zdwojoną czujnością. W końcu teraz musiałam pilnować i siebie, i jego.

- Wiem, że sobie na to zasłużyłem, Harper - przyznał Matthew. - I wiem, przekonanie was, że naprawdę żałuję, zajmie mi sporo czasu. Wiem, że spieprzyłem, i to nie raz. Nie zachowywałem się, jak prawdziwy ojciec powinien. Ba, nie tylko ojciec, nawet przeciętny odpowiedzialny dorosły.

Odwróciłam się do Tollivera, żeby pohamować jego reakcję, ale ujrzałam tylko rannego młodego człowieka, umęczonego natrętnością ojca.

- Nie powinieneś fundować teraz Tolliverowi takich scen - rzekłam. - Ta cała dyskusja jest całkiem nie na miejscu. Dzięki za pomoc, ale teraz powinieneś już iść.

Musiałam oddać Matthew sprawiedliwość - po-słuchał mnie bez sprzeciwu. Pożegnał się i wyszedł. - Uff, nareszcie - powiedziałam, żeby wypełnić czymś ciszę. Wzięłam Tollivera za rękę, ale nie otworzył oczu. Nie byłam pewna, czy naprawdę śpi, ale nie przeszkadzało mi to. Strumień odwiedzających wysechł chyba zupełnie, bo przez kilka kolejnych godzin udało nam się nacieszyć zwykłą, szpitalną nudą. Oglądaliśmy stare filmy, nawet trochę poczytałam. Nikt nie dzwonił, nikt nie przychodził. Kiedy wielki zegar wskazał piątą, Tolliver kazał mi iść i zameldować się w hotelu. Po krótkiej rozmowie z pielęgniarką w końcu ustąpiłam. Ledwie trzymałam się na nogach i marzyłam o prysznicu. Ranki na twarzy bolały i swędziały.

Musiałam skupić całą uwagę na kierowaniu, kiedy objeżdżałam hotele. Wybrałam ten, w którym zaoferowano mi czysty, przygotowany pokój na drugim piętrze. Wyciągnęłam torbę z bagażnika i powlokłam się przez hol do windy, myśląc tylko o tym, żeby znaleźć się już w wygodnym łóżku. Byłam co prawda głodna, ale to łóżko stanowiło główny punkt mojej tęsknoty. Kiedy zadzwoniła komórka, odebrałam przekonana, że to ze szpitala.

- Mówi pani, jakby spała na stojąco – zauważył detektyw Flemmons.

-Uhm.

- Rano będziemy mieć te nagrania. Wpadnie pani na komisariat?

-Jasne.

- Dobrze, w takim razie zobaczymy się jutro o dziewiątej, może być?

- Pewnie. Coś nowego w śledztwie?

- Nadal przepytujemy ludzi w okolicy. Może ktoś widział coś w czasie, gdy pani brat został postrzelony. Ta druga strzelanina, na Goodman, to były porachunki pomiędzy złodziejami. Niewykluczone, że ten sam sprawca tak się rozochocił, że mijając motel, postanowił sobie postrzelać do celu. Chyba znaleźliśmy też miejsce, z którego padły strzały.

- To dobrze - powiedziałam, niezdolna wykrzesać z siebie żywszej reakcji. Winda zatrzymała się na drugim piętrze i wyszłam na korytarz, gdzie znajdował się mój pokój. - Czy to już wszystko? - Włożyłam kartę do zamka.

- Raczej tak. Gdzie pani teraz jest?

- W hotelu, zatrzymałam się w Holiday Inn Express.

- Tym na Chisholm?

- Uhm. Niedaleko szpitala.

- Dobrze, skontaktuję się z panią później – rzekł detektyw na zakończenie.
Rozpoznałam ton, jakim mówił.

Rudy Flemmons był Fascynatem.

Ludzie, których spotykałam w związku z pracą, dzielą się na trzy kategorie: tych, którzy nie uwierzyliby mi, nawet gdybym przedstawiła im pisemne zaświadczenie od samego Boga, ludzi o otwartych umysłach, którzy dopuszczali istnienie rzeczy nie-przewidywalnych (nazywałam ich Hamletowcami) oraz tych, którzy nie wątpili, że naprawdę robię to, co robię. Mało tego, ci ostatni byli absolutnie zafascynowani moim darem nawiązywania kontaktu ze zmarłymi.

Fascynaci oglądali „łowców duchów”, brali udział w seansach spirytystycznych i korzystali z usług osób w rodzaju naszej świętej pamięci znajomej, Xylidy Bernardo. A jeśli nawet nie robili tego wszystkiego aktywnie, to z pewnością byli bardzo otwarci na nowe doświadczenia. W szeregach stróżów prawa nie spotykało się Fascynatów zbyt często, co było naturalne, gdyż policjanci na co dzień miewali do czynienia z różnego rodzaju oszustami.

Fascynatów przyciągałam niczym kocimiętka koty, ponieważ byłam prawdziwa. Wiedziałam, że od tej pory kontakty z detektywem Rudym Flemmonsem staną się coraz częstsze. Byłam żywym po-twierdzeniem wszystkiego, w co skrycie wierzył.

A wszystko dlatego, że zostałam porażona piorunem.

Marzyłam o prysznicu, jednak zrzuciłam buty i położyłam się na łóżku. Zadzwoiłam do Tollivera, aby poinformować go o jutrzejszej wizycie na komisariacie, obiecałam, że prosto stamtąd przyjdę do szpitala i wszystko mu opowiem. Jego głos był tak senny jak ja. W efekcie zamiast iść pod prysznic, ściągnęłam tylko spodnie, odłożyłam telefon na ładowarkę i wsunęłam się pod kołdrę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Obudziłam się bardzo gwałtownie. Przez kilka sekund leżałam, usiłując skojarzyć powody, dla których czułam się taka nieszczęśliwa, a potem przypominałam sobie o ranie Tollivera. Wszystkie wspomnienia wróciły do mnie z przerażającą wyrazistością.

Ja także zostałam postrzelona przez okno, zaczęłam się więc zastanawiać, czy coś w tym jest. Może gdybyśmy trzymali się z dala od budynków, to by zneutralizowało niebezpieczeństwo? Co prawda Tolliver należał do skautów i jeździł na obozy, ale nie przypominam sobie, żeby pomieszkiwanie na łonie natury szczególnie go zachwycało. Ja tym bardziej nie byłam typem biwakowiczki.

Zegarek wskazywał wpół do piątej. Przespałam cały wieczór i noc. Nic dziwnego, że mimo wczesnej pory byłam rześka. Podłożyłam poduszki pod plecy i włączyłam telewizor, ścisząc głoś. Oglądanie wiadomości odpadało, zawsze podawali w nich tylko złe, a miałam dość krwawych scen i brutalności. Na

którymś kanale znalazłam stary western. Przyglądanie się, jak zwyciężają zawsze ci dobrzy, a twarde saloonowe dziwki odkrywają swe złote serca, wprawiało mnie w iście błogi nastrój. W dodatku zdałam sobie sprawę, że w niegdysiejszych filmach powaleni kulą ludzie nie krwawili. Tamten świat podobał mi się znacznie bardziej niż ten, w którym żyłam, i wizyta w nim sprawiała mi ogromną przyjemność, szczególnie o tej szarej godzinie.

Po jakimś czasie musiałam znowu usnąć, bo gdy otworzyłam oczy, była siódma. Telewizor nadal chodził, a w ręku trzymałam pilota.

Po porannej toalecie zesłam do baru na śniadanie. Zaczynałam się obawiać, że jeśli nie będę jadła regularnych posiłków, w końcu zastabnę. Zjadłam sporą miskę owsianki, trochę owoców i wypłam dwie filiżanki kawy. Wróciłam do pokoju, żeby umyć zęby i zrobić makijaż. Podkład odpadał z powodu skaleczeń, ale nałożyłam trochę cienia i wytuszowałam rzęsy. Skrzywiłam się do odbicia w lustrze. Wyglądałam jak ofiara napadu kota. Równie dobrze mogłam zarzucić zbędne wysiłki poprawienia wyglądu.

Nadszedł czas, aby udać się na komisariat, żeby obejrzeć nagrania. Żołądek ścisnął mi się z nerwów. Usilnie starałam się nie myśleć o tym, że mogę ujrzeć Cameron, ale kiedy brałam witaminy, trzęsły mi się ręce. Zadzwoiłam do szpitala, żeby zapytać o Tollivera. Pielęgniarka powiedziała, że w nocy prawie cały czas spał, więc pozbyłam się obiekcji co do późniejszych odwiedzin.

Sen i posiłek pomogły, pomimo trosk nareszcie czułam się sobą. Wydział policji mieścił się w niskim gmachu, który wyglądał, jakby zaczynał skromnie, a potem wziął sterydy.

Najwyraźniej rozbudowano go i najwyraźniej mimo to wciąż pękał w szwach. Miałam problem ze znalezieniem miejsca na parking, a gdy wysiadłam z samochodu, rozpadało się. Na początku kropiło, ale po chwili lunęło na dobre. Pobiłam rekord szybkości w wyciąganiu z bagażnika i rozkładaniu parasola, więc wchodząc do budynku, nie byłam tak strasznie przemoczona.

Z różnych powodów spędzałam sporo czasu na komisariatach. Nowe czy stare, są do siebie podobne, tak jak szkoły albo szpitale.

Nie dostrzegłam żadnego stojaka, musiałam więc zabrać parasol ze sobą. Szłam korytarzem, zostawiając mokry ślad. Sprzątacze będą dzisiaj mieli dużo pracy. Latynoska stojąca za

kontuarem była szczupła, muskularna i bardzo zajęta. Na moją prośbę wezwała Flemmonsa przez interkom. Nie czekałam długo, detektyw pojawił się już po kilku minutach.

- Dzień dobry, pani Connelly - przywitał mnie. - Proszę ze mną.

Poprowadził mnie przez labirynt boksów, odgrodzonych niewysokimi przepierzeniami pokrytymi wykładziną. Mijając wydzielone pomieszczenia, zauważyłam, że są różnorodnie udekorowane przez zajmujących je pracowników. Większość komputerów była strasznie brudna, monitory pokrywały ślady palców i powłoka kurzu tak gruba, że trzeba się dobrze wpatrywać, żeby zobaczyć litery na ekranie. Salę, niczym gęsty smog, wypełniał gwar rozmów.

Nie było to radosne miejsce. Mimo że ludzie z policji zwykle uważali mnie za oszustkę, szarlatanekę, co oznaczało, że nie przepadałam za nimi jako jednostkami, i tak doceniałam, że ktoś w ogóle wykonuje tę pracę.

- Pewnie ciągle ma pan do czynienia z kłamcami - odezwałam się, podążając za tokiem własnych myśli. - Jak pan to wytrzymuje?

Rudy Flemmons spojrzał na mnie przez ramię.

- To część pracy. Ktoś musi stać pomiędzy tymi zwykłymi a tymi złymi.

Uderzyło mnie, że nie powiedział „dobrymi”. Możliwe, że gdybym pracowała w policji tak długo jak on, też nie wierzyłabym w istnienie czystej dobroci ludzkiej.

Na końcu, za boksami, znajdowało się coś w rodzaju pomieszczenia konferencyjnego z długim stołem otoczonym mocno zniszczonymi krzesłami. Na jednym krańcu blatu stał sprzęt do odtwarzania nagrań wideo. Kiedy zajęłam miejsce, Flemmons przy-gasił światło i nacisnął guzik startu.

Byłam tak spięta, że wydawało mi się, jakby pokój wibrował. Wpatrywałam się w ekran intensywnie, obawiając się, że coś przeoczę.

W następnej chwili oglądałam kobietę, na oko przed trzydziestką, która szła przez parking. Jej twarz była rozmazana i częściowo odwrócona. Miała długie, jasne włosy, była dość niska i krępa. Przysłoniłam usta dłonią, żeby nie mówić nic, póki nie nabiorę pewności.

Obraz zmienił się nagle, ukazując tę samą kobietę już w sklepie. Niosła torbę z Buckle'a. Ujęcie pokazywało ją en face. Mimo że film był krótki i zaśnieżony, przymknęłam powieki, czując ucisk w żołądku.

- To nie ona - rzekłam. - To nie moja siostra. - Miałam wrażenie, że zaraz się rozplączę, oczy mnie zapiekły, ale łzy nie popłynęły. Jednak niepokój i późniejsze rozczarowanie lub ulga były ogromne.

-Jest pani pewna?

- Nie na sto procent. - Wzruszyłam ramionami. - Musiałabym ją zobaczyć twarzą w twarz. Ostatnio widziałam siostrę osiem lat temu. Ale ta kobieta ma okrągłą twarz i chodzi inaczej niż Cameron.

- Dobrze, puszcze to jeszcze raz, dla pewności - rzucił Flemmons bardzo neutralnym tonem. Usiadłam prosto i jeszcze raz skupiłam się na ekranie.

Rzeczywiście, za drugim razem mogłam dostrzec więcej szczegółów.

Kobieta z parkingu dźwigała wielką torebkę. Cameron nie kupiłaby sobie takiej. Oczywiście, gusta ewoluują z czasem, ale nie sądziłam, żeby preferencje siostry zmieniły się aż tak drastycznie. Kobieta była ubrana dość swobodnie, ale na nogach miała szpilki, zaś Cameron nigdy nie założyłaby wysokich obcasów do codziennego stroju. Aczkolwiek mogła zmienić upodobania co do torebek i butów. Ja także nie nosiłam takich dodatków jak za czasów szkolnych. Jednakże kształt twarzy i chód, lekkie przygarbienie... Nie, to nie mogła być Cameron.

- Zdecydowanie nie - oświadczyłam po chwili.

Teraz byłam już spokojniejsza. Napięcie opadło, a fakt, że kolejna nadzieja okazała się złudna, dotarł już do mojej świadomości.

Rudy Flemmons spuścił na chwilę głowę, a ja zastanawiałam się, jaką minę ukrywa.

- W porządku - rzekł wreszcie. - W porządku, przekażę to Pete'owi Greshamowi. Przy okazji, pozdrowiał panią.

Kiwnęłam głową. Teraz, gdy widziałam już nagranie i okazało się, że kobieta na nim nie jest moją siostrą, chciałam dowiedzieć się czegoś na temat osoby, która zadzwoniła z informacją na policję. Zaczęłam wypytywać, ale detektyw nie puścił pary z ust.

- Dam pani znać, jeśli się czegoś dowiemy - uciął, nie zaspokoiwszy mojej ciekawości.

Rozłożyłam parasol i pobiegłam do samochodu. Telefon w kieszeni zaczął wibrować, strzepnęłam więc parasol i wrzuciłam go na tył samochodu, wślizgując się za kierownicę. Zatrzasnąwszy drzwiczki, odebrałam.

- Mariah Parish miała dziecko - oznajmiła Victoria Flores.

- Możesz przekazywać mi tę informację?

- Rozmawiałam już z Lizzy Joyce. Aktualnie idę za śladem tego dziecka. Godzinami siedzę przy komputerze, sporo też chodziłam. Cała ta sprawa jest bardzo dziwna. Skoro

pozwołała tobie rozmawiać ze mną, przyjmuję, że działa to też w drugą stronę -Victoria, zwykle powściągliwa i rzeczowa, teraz niemalże paplała.

- Hm, nie wiem, w każdym razie ja na pewno nie będę rozpowiadała o tym na prawo i lewo - zapewniłam coraz bardziej zaciekawiona.

- Może zjemy razem obiad? Chyba przyda ci się trochę towarzystwa, skoro twój luby jest w szpitalu?

- Bardzo chętnie.

- Dobrze, co powiesz na Outback? Ten w pobliżu szpitala?

Podawała mi wskazówki, jak dojechać na miejsce, i umówiliśmy się na szóstą. Zdziwiła mnie ta otwartość Victorii. W zasadzie jej ochoczość do dzielenia się ze mną informacjami wydała mi się na-wet dziwna. Jednak po prawdzie, czułam się trochę osamotniona i świadomość, że ktoś chce ze mną porozmawiać, sprawiła mi przyjemność. Co prawda dzwoniła też łona, żeby zapytać o zdrowie Tollivera, ale tylko raz, a konwersacja była krótka i raczej kurtuazyjna.

Szpitala to odrębne światy - także i ten kręcił się niepowstrzymanie wokół własnej osi. Nie zastałam Tollivera w sali. Powiedziano mi, że został zabrany na badania, ale nikt nie wiedział na jakie i dlaczego.

Poczułam się strasznie opuszczona. Nawet Tollivera, teoretycznie przykutego do łóżka, nie było w spodziewanym miejscu. Zadzwoiła komórka. Rozejrzałam się skrępowana, bo nie powinnam mieć jej w szpitalu włączonej, ale odebrałam.

- Harper? Wszystko u ciebie w porządku?

- Manfred! Co słychać? - Od razu się uśmiechnęłam.

- Czułem, że masz jakieś kłopoty, i musiałem zadzwonić. Coś się dzieje?

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę – powiedziałam bardziej ożywiona, niż powinnam.

- Hm, skoro tak, lecę pierwszym samolotem. -

Nie do końca żartował. Manfred Bernardo, początkujący jasnowidz, młodszy ode mnie o trzy czy cztery lata, nigdy nie ukrywał, jak bardzo go pociągam.

- Czuję się trochę samotna, bo Tolliver został postrzelony. - Natychmiast zdałam sobie sprawę, jak bardzo egocentrycznie to zabrzmiało. Po moich wyjaśnieniach Manfred rozochocił się jeszcze bardziej.

Na serio zapowiedział swój przylot do Teksasu, żeby

„użyczyć mi rękawa", w który mogłabym się wyplakać. Przez moment miałam ochotę na to przystać. Obecność Manfreda - z jego tatuażami, kolczykami i całą resztą - poprawiłaby mi nastrój. Powstrzymała mnie jednak wizja miny Tollivera na wieść o przybyciu chłopaka.

W końcu obiecałam, że dam mu znać, jeśli będzie gorzej, tym ogólnikowym stwierdzeniem satysfakcjonując nas oboje. Manfred poprzysiągł, że będzie dzwonił codziennie, póki Tolliver nie wyjdzie ze szpitala.

Rozmowę skończyłam w znacznie lepszym na-stroju. A żeby było jeszcze lepiej, w tej samej chwili salowy przywiózł siedzącego na wózku Tollivera.

Tolliver wyglądał odrobinę lepiej niż wczoraj, ale po przygarbionej pozycji, w jakiej siedział, poznałam, że jest bardzo osłabiony. Co prawda nie przyznałby się do tego, ale z ulgą wrócił do łóżka.

Upewniwszy się, że pacjentowi niczego nie brakuje, salowy wyszedł cichym, szybkim krokiem, który leżał chyba w zakresie obowiązków wszystkich pracowników szpitala. Tolliver wyjaśnił, że był na prześwietleniu, badaniu obojczyka i konsultacji z neurologiem, który sprawdzał, czy rzeczywiście nerwy nie zostały uszkodzone.

- Widziałeś się z doktorem Spradlingiem? - zapytałam.

- Tak. Mówił, że wszystko wygląda w porządku. Myślałem, że będziesz wcześniej. - Chyba zupełnie zapomniał, że mówiłam mu o zaplanowanej wizycie na posterunku.

Opowiedziałam mu o nagraniu i różnicach pomiędzy nieznaną kobietą a Cameron.

- Przykro mi - westchnął. - Co prawda przypuszczałem, że to ktoś inny, ale pewnie gdzieś na dnie zawsze płonie jakaś iskierka nadziei.

Właśnie tak się czułam.

-Ja się najbardziej zastanawiam, dlaczego ktoś sądził, że to ona. Kto dzwonił na policję? Kto podsunął Pete'owi pomysł z nagraniami? Ta kobieta była na tyle podobna, by zmylić Pete'a i skłonić go do pokazania zapisu mnie. Czy ten anonimowy informator chodził z nami do szkoły i po prostu się pomylił? Czy to raczej jakiś świr, który nas dręczy?

-I dlaczego akurat teraz? - dorzucił Tolliver, spoglądając na mnie. Nie znałam odpowiedzi.

-Jakoś nie mogę się dopatrzeć związku z Richem Joyce'em i jego opiekunką. Ale zbiegnięcie się tych spraw w czasie jest zastanawiające, nie?

Żadne z nas nie mogło wymyślić nic więcej na temat tego splotu wydarzeń. Po chwili podeszłam do szafy i wyjęłam z dzinsów Tollivera grzebień. Spodnie były zaplamione, a koszulka pocięta. Zanotowałam w myślach, żeby przynieść mu czyste ubranie na wyjście.

Podczas czesania okazało się, że ma brudne włosy, więc zaczęłam kombinować, jak by je umyć. Improvizowałam. Z pomocą czystego basenu, gumowego podkładu, którym okryty był materac w razie, gdyby opatrunek przemókł, oraz szamponu znajdującego się w wyprawce szpitalnej, udało mi się tego dokonać. Pomogłam mu się też ogolić, umyć zęby, a nawet umyć z grubsza gąbką, która to czynność nabrała zaskakująco sprośnego wymiaru.

Po wszystkim Tolliver, odprężony i senny, stwierdził, że czuje się o wiele lepiej. Przyglądałam mu ciemne, wilgotne włosy i pocałowałam w gładki policzek.

Pielęgniarka przyszła go umyć w chwili, kiedy skończyłam. Widząc, że wszystko jest zrobione, wzruszyła ramionami i wyszła.

W szpitalu czas się niemiłosiernie dłuży. Zanim miałam okazję powiedzieć Tolliverowi o telefonie Victorii, zasnął. Biorąc pod uwagę, że mieliśmy w perspektywie cały długi dzień, postanowiłam go nie budzić. Sama także ucięłam sobie drzemkę. Ocknęłam się o wpół do dwunastej, przebudzona hałasem wózka z jedzeniem. Kolejna ekscytująca przerwa w nudzie. Pokroiłam Tolliverowi jedzenie, choć wiele do krojenia nie było, i włożyłam słomkę do napoju, żeby poradził sobie jedną ręką. Był prze-szczęśliwy, że wreszcie dostał coś konkretnego, i nawet jakość szpitalnego posiłku mu nie przeszkadzała. Kiedy się najadł, zabrałam tacę i wręczyłam mu pilota do telewizora. Postanowiłam sama poszukać czegoś do zjedzenia.

- Nie musisz tu siedzieć cały dzień – powiedział Tolliver.

-Teraz coś zjem, a potem jeszcze posiedzę -oświadczyłam tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Później mam spotkać się z Victorią i pewnie już dzisiaj nie przyjdę.

- Bez sensu, żebyś tu tkwiła tyle czasu. Lepiej byś się przebiegła albo poszła na siłownię.

Miał rację. Przywykłam co prawda do długiego siedzenia, w końcu tyle czasu spędzaliśmy w samo-chodzie, ale też codziennie ćwiczyłam, więc czułam, że mam zastępe mięśnie.

W barze szybkiej obsługi zjadłam sałatkę, z przyjemnością chłonąc atmosferę rozgardiaszu w lokalu. Na początku czułam się dziwnie, siedząc przy sto-liku sama, ale moją uwagę szybko pochłonęło obserwowanie siedzącej przy sąsiednim stoliku matki z trójką kilkuletnich dzieci. Zastanawiałam się, czy Tolliver chciałby mieć dzieci. Ja niekoniecznie. Wychowywałam już dwójkę niemowląt, moje siostrzyczki, i nie ciągnęło mnie, aby powtarzać to doświadczenie. Musiałam przyznać przed sobą, że choć nie chciałam zostać wyeliminowana całkowicie z ich życia, to nie uśmiechałoby mi się także zajmowanie się nimi na co dzień.

Nawet widok przytulającego się do matki chłopca nie wzbudził we mnie pragnienia noszenia w sobie nowego życia. Czy powinnam mieć z tego powodu wyrzuty sumienia? Czy naprawdę każda kobieta chce mieć własne dzieci?

Niekoniecznie, pomyślałam. Poza tym jest masa samotnych dzieci. Nie ma potrzeby sprowadzania na ten świat kolejnych.

Po powrocie do szpitala zastałam Tolliyera oglądającego mecz koszykówki.

- Mark dzwonił, jak cię nie było - poinformował mnie.
- O rany, dałeś radę sięgnąć do telefonu?
- To było spore wyzwanie, ale udało się.
- Mówił coś ciekawego?
- Uhm. Że rozmowa ze mną przybiła tatę i że jestem idiotą, skoro nie powitałem go w Krainie

Trzeźwości z otwartymi ramionami.

Namyślałam się przez chwilę, zanim wypowiedziałam to, co chodziło mi po głowie.

- Mark ma słabość do ojca. Wiesz, że kocham twojego brata, uważam, że jest porządnym człowiekiem, ale myślę, że nigdy nie będzie obiektywny w stosunku do Matthew.
- No, masz rację. Ubóstwiał mamę, a kiedy zmarła, przelał uczucia na ojca.

Tolliver rzadko mówił o matce. Jej śmierć z powodu raka musiała być koszmarem.

- Mark chyba chce wierzyć, że ojciec w głębi duszy jest dobry - podjął Tolliver z namysłem. – Inaczej oznaczałoby to, że stracił jedyne pozostałego mu rodzica. A to dla niego bardzo ważne.
- Myślisz, że twój ojciec jest rzeczywiście dobry w głębi serca?

Widać było, że Tolliver rozważa odpowiedź.

- Mam nadzieję, że zostało w nim trochę dobra. Ale szczerze, nie sądzę, żeby długo pozostał czysty. Nieraz już obiecywał i nic z tego nie wyszło. Zawsze wraca do ćpania, a pamiętasz, że w najgorszych okresach brał co popadło. Teraz wydaje mi się, że naprawdę musiał cierpieć, skoro potrzebował tyle prochów. Ale nigdy nie zapomnę, że dla narkotyków zostawił nas na pastwę losu. Nie, nie ufam mu. I mam nadzieję, że nie zacznę, bo nie chcę się znów rozczarować.
- To samo czułam, jeśli chodzi o moją matkę - rzekłam ze zrozumieniem.

- Ta, Laurel też była niezłym ziółkiem. Wiesz, że uderzała do mnie i Marka?

Zrobiło mi się niedobrze.

- Nie - wydusiłam przez ściśnięte gardło.

- Owszem. Cameron wiedziała. Weszła w... hm, krytycznym momencie. Mark mało nie umarł z zażenowania, ja też nie wiedziałem, co robić.

-I co? - Spalałam się ze wstydu. Oczywiście nie było w tym mojej winy, ale na wieść, że własna matka robiła takie rzeczy, człowiekowi przewraca się w żołądku.

- Cameron zaciągnęła ją do sypialni i ubrała. Nie sądzę, żeby Laurel w ogóle miała świadomość tego, gdzie się znajduje, co robi i że to my. Cameron spoliczkowała wtedy twoją mamę kilkakrotnie.

- Rany boskie... - czasami po prostu brakowało mi słów.

- Ale to już za nami - powiedział Tolliver, jakby próbował przekonać samego siebie.

- Tak, to przeszłość. Teraz mamy siebie.

-I tamto już nas nie dotknie

- Tak - skłamałam. - Nie dotknie

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Restauracja, w której spotkałam się z Victorią, była zatłoczona. Obsługa niezmordowanie goniła w te i wewte. Stanowiło to niesamowity kontrast z martwością stłumionych odgłosów szpitalnych. Ku memu zdumieniu Victoria nie przyszła sama. Przy stoliku towarzyszył jej Drexell Joyce, brat Lizzy i Katie.

- Witaj, moja droga. - Victoria podniosła się i objęła mnie na powitanie. Znów mnie zaskoczyła, ale nie na tyle, bym się cofnęła. Nie sądziłam, że jesteśmy na tak familiarnej stopie.

Odniosłam wrażenie, że to raczej pokaz na rzecz Drexella. Zakładałam, że będzie to spotkanie dwóch kobiet, które zarabiają na życie odkrywaniem sekretów, a nie posiedzenie strategiczne z udziałem obcego mężczyzny.

- Panie Joyce... - przywitałam się, siadając i wsuwając torebkę pod nogi.

- Proszę mi mówić po imieniu - zaproponował

z szerokim uśmiechem. W spojrzenie, jakim mnie obrzucił, włożył wiele podziwu. Ani przez sekundę nie wierzyłam w jego szczerość.

- Co cię przywiodło tak daleko od rancza? - zapytałam, uśmiechając się, jak miałam nadzieję, rozbrajająco.

- Siostry prosiły, żebym sprawdził, czy Victoria ma jakieś nowe wieści i jak idzie śledztwo. Jeśli mamy jakiegoś nieletniego wujka lub ciotkę, chcemy się upewnić, że ma dobrą opiekę.

- Zakładasz więc, że ojcem dziecka Mariah Parish jest wasz dziadek? - Wydawało mi się to niesłychane i nie usiłowałam tego ukryć.

- Owszem, tak uważani. Był starym lisem, fakt, ale szcwanym. Dziadek zawsze był babiarzem.

-I myślisz, że Mariah chętnie przyjęłaby jego awanse?

- Cóż, był bardzo charyzmatyczny, a ona mogła myśleć, że jej reakcja może mieć wpływ na pracę, więc tak. Dziadek nie przyjmował dobrze odmowy.

Urocze. Nie przychodziło mi na myśl nic, co mogłabym powiedzieć, więc milczałam.

-Jak się czuje twój brat? - zapytała Victoria z życzliwą troską.

Ogarnęło mnie rozczarowanie. Liczyłam, że Victoria zaprosiła mnie tu, bo miała jakiś ukryty cel. W końcu nie chodziło przecież o samo moje towarzystwo.

- Dużo lepiej, dziękuję - odpowiedziałam. - Mam nadzieję, że jutro wypuszczą go ze szpitala.

- Macie plany, co potem?

- Zwykle Tolliver się tym zajmował. Jak wyjdzie, siądziemy i sprawdzimy, co dalej. Na razie zamierzamy zostać tu kilka dni i pobyć trochę z rodziną.

- O? Macie tu krewnych?

- Dwie młodsze siostry.

- Z kim mieszkają?

- Wychowują je wujostwo.

- Mają tu dom?

Możliwe, że Drex zadawał tyle pytań, bo był zaintrygowany wszystkim, co dotyczyło Harper Connelly, ale nie pochlebiało mi to wyciąganie prywatnych informacji.

- Często bywacie w Dallas? - zapytałam. - Wczoraj widziałam tu twoje siostry, a dzisiaj ty? Macie dość daleko do domu?

- Mamy tu mieszkanie, a drugie w Houston. Na ranczu spędzamy dziesięć miesięcy, ale czasem też potrzebujemy użyć wielkiego świata. Z wyjątkiem Chipa, który mógłby się stamtąd nie ruszać. Ale Lizzy i Katie zasiadają w różnych zarządach, od banków po instytucje charytatywne, a spotkania odbywają się tutaj, w Dallas.

- A ty? - wtrąciła Victoria. - Nie zajmujesz się działalnością charytatywną?

Drex zaśmiał się, odrzucając głowę. Pewnie chciał ukazać nam swoją męską szczękę z innej perspektywy. Ciekawe, co będzie robił za parę lat, kiedy linia tej szczęki nie będzie już tak napięta. Z doświadczenia wiedziałam, że w grobie nikt nie wygląda atrakcyjnie.

- Przypuszczam, że większość członków zarządów ma na tyle oleju w głowach, by mnie o to nie rosić - stwierdził z błyskiem w oku, charakterystycznym dla złotych chłopców. Jeszcze jeden synalek potentata z południa. - Nie umiem usiedzieć miejscu, a ich gadanina usypia mnie momentalnie.

Jak Victoria mogła tego słuchać? Robiła wrażenie oczarowanej tym dupkiem.

- Ale wracając do rzeczy, Vctorio, jak tam poszukiwania? - zapytał Drex tonem mężczyzny, który z zalem porzuca zabawę, by zająć się nudnymi prawami.

- Całkiem nieźle. - Nadstawiłam uszu. Victoria ,wiła spokojnym, profesjonalnym tonem, zaprawionym więcej niż nutą rezerwy. - Aktualnie zbieram informacje na temat Mariah i okazuje się, że nie jest to wcale takie proste, jak przypuszczałam. Jak dokładnie sprawdziliście ją przed przyjęciem do pracy?

- Nie wiem, ale chyba nie Lizzy to robiła. - Drex wydawał się zaskoczony. - Dziadek ją sam zatrudnił. Dowiedzieliśmy się o niej, jak już zamieszkała w domu.

- Ale rozważaliście przyjęcie kogoś do pomocy dla dziadka? - drążyła Yictoria.

- Tak, kogoś, kto byłby więcej niż gosposią, ale jeszcze nie wykwalifikowaną pielęgniarką. Potrzebował asystentki w szerokim tego słowa znaczeniu. Mariah była jakby niańką. Pilnowała, żeby odpowiednio się odżywiał, zwracała uwagę, czy nie za dużo pije. Ale rzucał się, kiedy tak ją nazywaliśmy. Sprawdzała mu też codziennie ciśnienie.

Victoria uczepiła się tej ostatniej informacji.

- Miała dyplom pielęgniarski?

- Nie, nie sądzę, żeby była wykształcona. Miała tylko pilnować, żeby brał leki, przypominać o spotkaniach, wozić, jeśli nie czuł się na tyle dobrze, by sam prowadzić i w

razie czego dzwonić do lekarza. Dostała listę niepokojących objawów. Była czymś w rodzaju żywego guzika alarmowego, w każdym razie w założeniu.

Wymieniłyśmy z Victorią spojrzenia. A więc nie tylko ja wychwycałam w monologu Dreksa nutkę urazy. Teraz nabrałam pewności, że Victoria nie jest zainteresowana Dreksem w sposób, w jaki wydawało mi się na pierwszy rzut oka. Prowadziła grę bardziej złożoną, niż ja potrafiłabym zaplanować i wprowadzić w życie.

- Ona postrzegała swoją rolę nieco inaczej? - wtrąciłam.

-I to jak. Uważała się za jego strażniczkę. - Drex pociągnął potężny łyk piwa i rozejrzał się za kelnerem. Zamówienie złożyliśmy kilka minut wcześniej.

- Dlaczego zapłaciliście za jej pogrzeb i w dodatku złożyliście wśród krewnych? - zadałam wreszcie pytanie, które dręczyło mnie od jakiegoś czasu. - A co z jej własną rodziną?

- Po śmierci przejrzelśmy jej rzeczy, ale nie znaleźliśmy niczego, gdzie byłyby zapisane jakieś nazwiska czy adresy. Lizzy pytała wszystkich, czy Mariah opowiadała coś o sobie - skąd pochodzi, czy ma bliskich, ale nikt nic nie wiedział. Chip ani jego rodzina też.

- A numer ubezpieczenia? Jako pracodawca dziadek musiał go mieć.

- Zatrudnił ją na czarno.

Zdumiałam się. Dlaczego ktoś tak bogaty jak Richard Joyce miałby zatrudniać kogoś na czarno? Joyce'owie musieli mieć masę ludzi, księgowych, kadrowych, gotowych na każde skinienie załatwić wszelkie formalności.

- Po spotkaniu z Mariah Lizzy powiedziała dziadkowi, że to nieodpowiednia osoba. Dziadek uparł się, choć wiedział, że jesteśmy przeciwni. Dlatego nie chciało mu się zatrudnić jej oficjalnie, żeby nie musiał jej w razie czego zwalniać - bronił się Drex, a ja rozumiałam dlaczego. Spojrzałyśmy po sobie z Victorią.

- A więc twój dziadek zatrudnił obcą osobę, płacił jej pod stołem, nic o niej nie wiedział, ale pozwolił, by zamieszkała pod waszym dachem? - Jeśli w moim tonie pobrzmiwało niedowierzanie, cóż, trudno. - Wspominałeś, że Chip rozmawiał ze swoimi krewnymi po jej śmierci, dlaczego? - Usłyszawszy grzmot, popatrzyłam w okno. Na szybie rozbijały się duże krople deszczu.

- Tak, bo oni ją znali. To właśnie Chip ją polecił.

Zapadło chwilowe milczenie. Drex rozglądał się znów za obsługą, zaś Victoria i ja siedziałyśmy pogrążone we własnych myślach. Nie wiem, co chodziło po głowie Victorii, ale ja doszłam do wniosku, że chciałabym, by moja rodzina na starość zajęła się mną lepiej niż Joyce'owie Richardem.

- Czy Lizzy i Chip są ze sobą długo? – zapytała Victoria, jakby nowym tematem chciała skierować rozmowę na tory bardziej towarzyskiej pogawędki.
- Ech, od niepamiętnych czasów. Poznali się na ranczu oczywiście. Poza tym oboje brali udział w rodeo. Po kilku latach znajomości i rozwodzie Chipa jakoś tak między nimi zaskoczyło. Byli na zawodach w Amarillo, on startował w rzucie lassem, a ona w slalomie beczkowym. Miała jakiś problem z hakiem od przyczepy i on jej pomógł.
- Więc Mariah pracowała wcześniej dla rodziny Chipa?
- Nie, wychowywali się w jednym domu zastępczym, a kiedy Mariah się wyprowadziła, Chip zarekomendował ją swojemu dalekiemu kuzynowi, Arthurowi Peadenowi, chyba tak się nazywał. Ten kuzyn umarł mniej więcej w tym czasie, kiedy lekarz powiedział dziadkowi, że przyda mu się całodobowa pomoc. Chip wtedy wspomniął o Mariah i przysłał ją do domu. Dziadkowi się spodobała i to wszystko. W sumie, jak już wyszliśmy z szoku, stwierdziliśmy, że to może i lepiej, że nie musieliśmy szukać kogoś i przeprowadzać tej masy rozmów kwalifikacyjnych. Dziadek miał kogoś doświadczonego w opiece, a Mariah nie łąziła za nim krok w krok, jakby był sklerotycznym kaleką. Była ładna, miła, uśmiechnięta i w dodatku świetnie gotowała.

Drex dostał w końcu nowe piwo, a Victoria zaczęła tak prowadzić rozmowę, żeby mówił o sobie.

Drex nie grzeszył szczególną bystrością, Victoria natomiast była sprytna, więc przysłuchując się im, nie musiałam długo czekać, żeby pojawił mi się w głowie obraz życia młodego Joyce'a.

Ojcu prawdopodobnie trudno przyszło zaakceptować, że jego jedyny męski potomek nie jest odpowiednią osobą do przejęcia rodzinnego interesu, ale trudno było podważyć, że Lizzy była nie tylko najstarsza, lecz także najinteligentniejsza. Katie, średnia z rodzeństwa, była, przynajmniej według Dreksa, najbardziej narwana.

Z ulgą powitałam nadejście kelnera z zamówieniem. Nie byłam prywatnym detektywem i nie płaco-no mi za zgłębianie zawitych historii rodu Joyce'ów. Podczas posiłku niemal na śmierć zanudziło mnie wysłuchiwanie Dreksa, nie uszczęśliwiła mnie też przynależność do drużyny mającej za zadanie wy-ciągać z tego durnia informacje. Mimo irytacji rozumiałam zamysł Victorii polegający na sprowadzeniu tu Dreksa. Przy mojej pomocy łatwiej było jej ukryć przesłuchanie pod płaszczykiem konwersacji i sprawić, by Drex nie zorientował się, w jaką stronę zmiierzają jej pytania, a także pewnie więcej wychlapał.

Dodałam też kilka pytań od siebie.

Wiedziałam również, że Victoria chciała podsunąć mu więcej niż jedną atrakcyjną kobietę do towarzystwa i szczerze ulżyło mi, gdy okazało się, że to ona bardziej odpowiada jego gustom.

Z perfidną radością wymówiłam się wcześniej, zostawiając ich, nim kelnerka przyszła zaproponować desery. Przez moment Victoria wyglądała na zaniepokojoną, ale pożegnała mnie, umawiając się na telefon.

Postanowiłam za wszelką cenę uniknąć tego kontaktu. Nie cierpiałam, jak się mną posługiwano, a byłam przekonana, że Victoria zaplanowała dokładnie ten wieczór, jeszcze zanim mnie zaprosiła. A mogła mi powiedzieć, o co chodzi. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego uciekła się do czegoś takiego. Przecież skoro Joyce'owie sami ją zatrudnili, pewnie gotowi byli na daleko idącą współpracę. Dlaczego nie zdobyła tych informacji już wcześniej?

Do hotelu wracałam z uczuciem niesmaku. Ponieważ przestało padać, postanowiłam trochę się poruszać. Nie lubiłam biegać po ciemku, ale na-prawdę potrzebowałam wysiłku fizycznego. Wcześniej nie zdążyłam rozejrzeć się po okolicy, ale wy-dawało mi się, że przecnicę od hotelu znajduje się szkoła. Może, jeśli brama będzie otwarta, mogłabym skorzystać z ich ścieżki zdrowia. A jeśli nie uda się tam, naprzeciwko znajdowała się duża zajezdnia autobusowa.

Ku mojemu zdumieniu w holu siedział Parker Powers, były futbolista i aktualny gliniarz.

- Czekasz na mnie? - zapytałam, podchodząc.
- Tak. Możemy porozmawiać? - Otaksował mnie przenikliwym spojrzeniem.
- O czym?
- Chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań o brata. Wczoraj kilka przecnic od motelu ktoś strzelał z samochodu. Chcemy ustalić, czy atak na pani brata jest z tym jakoś powiązany. Słyszałem, że wraca do zdrowia?

Nie musiał tego dodawać. Widziałam błysk w jego oku. Ale skoro zajmował się śledztwem w sprawie Tollivera, byłam gotowa pomóc. Chciałam wiedzieć, kto strzelał do mojego brata. Jednakże nie zamierzałam rozmawiać o tym w holu ani też, ze względu na wspomniany błysk, zapraszać go do pokoju.

- Zamierzam pobiegać, może się pan przyłączy?

-Jasne. - Wahał się tylko przez mgnienie oka. -

Mam w samochodzie spodnie do ćwiczeń. Wie pani, to nierozsądne biegać o tej porze, szczególnie że ktoś strzelał do pani brata. Nie mamy pojęcia, jaki był motyw tej napaści. Może jest to powiązane z pobliską strzelaniną, ale być może nie.

- Zejdę za dziesięć minut. - Poszłam do pokoju. Klucz oraz prawo jazdy włożyłam do plastikowej torebki, którą zawiesiłam na szyi, przebrałam się, zmieniłam buty i podskoczyłam

kilkakrotnie, żeby upewnić się, czy z portfeliaka nic nie wypadnie. Byłam gotowa. Komórkę włożyłam do zapinanej na zamek kieszeni i zesłam na dół.

Parker czekał, ubrany w stare spodenki oraz znoszoną bluzę. Wyszliśmy na parking, żeby się rozgrzać. Odniosłam wrażenie, że Parker dawno nie biegał, strój sportowy pewnie woził na siłownię. Widać, że pracował nad mięśniami, ale dorobił się wałka na brzuchu. Nie ćwiczył szczególnie entuzjastycznie, w każdym razie nie tak, jak przyglądał się mnie.

- Gotowy? - zapytałam. Kiwnął głową, choć minę miał kwaśną. W ogóle wyglądał, jakby wybierał się na szafot, nie na miłą przebieżkę.

Ruszyliśmy chodnikiem wzdłuż szeregu kamienic, minęliśmy przecznice i kolejne budynki, aż dotarliśmy na teren szkoły. Na zewnątrz paliło się dużo świateł, ale wszyscy siedzieli raczej w do-mach. Było chłodno, a na ulicach zebrały się kałuże po wcześniejszym deszczu. Samochody przejeżdżały dość często, jedne bardzo szybko, wyraźnie przekraczając prędkość, inne zaś wlokąc się niemilosiernie, jednak szeroki chodnik gwarantował wygodę. Ciekawe, czy któryś z kierowców rozpoznał mojego towarzysza.

Rześkie powietrze ułatwiało mi bieg. Utrzymywałam stałe, niespieszne tempo, ciesząc się wolnym rozgrzewaniem mięśni i przyspieszonym biciem serca. Szkolna ścieżka zdrowia znajdowała się za wysokim ogrodzeniem, a dostępu do niej, jak się spodziewałam, broniła zamknięta brama. Przeciłam ulicę, kierując się na rozległą zajezdnię szkolnych autobusów. Parker dotrzymywał mi kroku. Zerknęłam w bok - uśmiechał się, zadowolony z siebie. Przyspieszyłam, a jego uśmiešek natychmiast zrzędł. Kilka przecznic dalej Parker oddychał już ciężko. Jednak nie zwalniał, napędzany ambicją.

Po kolejnych kilkuset metrach skończyła mu się ambicja. Parking składał się z trzech zatoczek, w których stały rzędy autobusów. Biegaliśmy wzdłuż nich, zakręcając na końcach. Rozruszałam się w końcu i czułam się świetnie, ale Parker przystanął zgięty wpół, ciężko dysząc. Zatrzymałam się, biegnąc w miejscu. Machnął, żebym kontynuowała. - Ale niech pani zostanie na widoku - wyskandował pomiędzy świszczącymi oddechami.

Tak też zrobiłam. Nie byłam nawet w połowie tak dobrym biegaczem jak brat, ale tego wieczoru czułam się lekka i pełna energii. W porównaniu do Parkera biegałam, jakbym miała skrzydła u stóp. Przebiegłam wzdłuż cichej linii autobusów, wdychając zapach kałuż i mokrego betonu. Zerknęłam przez ramię. Parker podążał za mną szybkim krokiem, ale zaraz miałam mu zniknąć z zasięgu wzroku. Z żalem porzuciłam pomysł okrążenia autobusów i obróciwszy się na pięcie, pobiegłam z powrotem tą samą drogą.

Do zajezdni musiała prowadzić jeszcze jedna droga, bo usłyszałam najeżdżający z końca parkingu samochód. Po chwili reflektory oświetliły mnie z tyłu, rzucając na chodnik mój cień i rażąc Parkera po oczach. Poczułam ukłucie irracjonalnego lęku i zwolniłam, niepewna, co robić. Odgłos silnika narastał powoli, ale był coraz wyraźniejszy.

Detektyw, choć oślepiiony, przyspieszył kroku, biegnąc mi naprzeciw. Był parę metrów ode mnie, kiedy wyciągnął broń. Przez moment myślałam, że zamierza do mnie strzelić. Skonfundowana, prawie przystanąłam. Samochód był tuż za mną. - Biegnij! - krzyknął Parker. Nie rozumiałam, o co mu chodzi, ale ruszyłam pędem, młócąc rękami powietrze i przyspieszając coraz bardziej. Kiedy znalazłam się przy Parkerze, ten pchnął mnie pomiędzy autobusy, a sam odwrócił się do nadjeżdżającego samochodu i uniósł broń. Kierowca chyba dostrzegł pistolet, bo skręcił gwałtownie i z piskiem opon przyspieszył, wypryskując z parkingu w szalonym pędzie.

- Co...?! - wykrzyknęłam, wybiegając pomiędzy autobusów na spotkanie mojego wybawiciela. - Co to było?! - wrzasnęłam, wyrzucając ramiona w górę.

- Pogróżki - odparł jeszcze z lekką zadyszka. - Ktoś pani dzisiaj groził. Nie chciałem, żeby biegała pani sama. Byłaby pani zbyt łatwym celem.

- Czemu, do cholery, nic mi pan nie powiedział?

A więc stąd to wspólne bieganie?

-Nie miałem pojęcia, że ma pani obsesję na punkcie zdrowia - rzucił z pretensją. - Miałem pani ostrzec i powiedzieć o tamtej strzelaninie.

- A więc zamiast... - zapowietrzyłam się. Zamknęłam oczy, wzięłam się w garść i stanęłam prosto. - Czy te pogróżki mają jakiegoś konkretnego autora?

- Nie, to był męski głos. Mówił, że to, co pani robi, to dzieło szatana i tym podobne. I jeszcze, że nie powinna pani przyjeżdżać do Teksasu i że się tym zajmie, jak panią zobaczy. Wymienił też nazwę tego hotelu, do którego się pani przeprowadziła.

Nie przejmowałam się zbyt, dopóki Parker nie wspomniał o hotelu. Dopiero to wytrąciło mnie z równowagi. Sprawa wyglądała poważnie.

- Więc myśli pan, że to on był w samochodzie, czy tylko przeraził pan jakichś smarkaczy? - Nogi zaczęły mi sztywnieć, więc podskoczyłam kilka razy i zrobiłam parę skłonów.

- Nie wiem - przyznał Parker ponuro. - Ale zauważyłem część rejestracji, sprawdzę to.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że ten człowiek zastonił mnie, praktycznie rzecz biorąc, własnym ciałem, myśląc, że ktoś może do mnie strzelać. Znaczenie tego czynu ogłuszyło mnie.

- Dziękuję - powiedziałam, stojąc na trzęsących się nagle nogach. - Bardzo panu dziękuję.

- To moja praca. Mamy przecież chronić. Na szczęście nie muszę tego robić zbyt często, bo zawał miałbym gwarantowany. - Uśmiechnął się. Zauważyłam też, że już nie oddycha tak ciężko.

- To co? Chyba powinniśmy wracać? Mam nadzieję, że nie będzie powtórki? - Nie chciałam ranić jego uczuć, co było dość absurdalne.

- Nie, sądzę, że odjechał na dobre. - Chyba odetchnął z ulgą. - Chodźmy do hotelu. - Schował broń.

Wiedziałam, że nie ma szans na zmuszenie policjanta do biegu, więc ruszyliśmy po prostu szybkim krokiem. Minęliśmy szkołę, docierając do części mieszkalnej, gdzie o tej porze prawie nie było już ruchu. Ludzie wrócili z pracy, a prawie nikt nie wychodził z domu. Temperatura spadła trochę, zaczęłam się trząść. Znajdowaliśmy się w okolicy, gdzie hobby mieszkańców stanowiły ogródki. Rostło tu mnóstwo zimozielonych drzew, a fronty domów upiększały krzewy i skalniaki. Parker zadawał mi pytania mające prawdopodobnie mnie uspokoić. Pytał kompletnie bez sensu o to, ile i gdzie zwykle biegam, jak długo i czy brat także biega...

W momencie gdy cień za jednym z drzew nabrał w moich oczach kształtu mężczyzny, oderwał się od pnia i zastąpił nam drogę, ujrzałam odbicie światła na broni. Parker rzucił się ku mnie, odtrącając na bok, a strzelec trafił go prosto w pierś.

Krzyki byłyby stratą cennego czasu. Jediną moją przewagą stanowiła szybkość. Skoczyłam na trawnik i pognałam niczym zając na prochach. Mimo miękkiego podłoża słyszałam za plecami kroki napastnika. Pobiegłam za dom, otoczony od tyłu ogrodzeniem. Płot był raczej tylko umownym zabezpieczeniem, więc pokonałam go bez trudu, lądując na trawie po drugiej stronie. Kilkoma susami dotarłam do krańca kolejnego podwórka.

Dopiero później pomyślałam o wszystkich prze-szkodach, na których z łatwością mogłam upaść, łamiąc nogę.

Przedostałam się do sąsiedniego ogródka, skąd miałam już wolną drogę na ulicę. Domy zbudowano tylko po jednej stronie. Po przeciwnej znajdował się pas drzew, a za nim, z tego, co mogłam dostrzec w plamach światła rzucanych przez latarnie, rów. Rzuciłam się pędem w stronę hotelu najszybciej jak potrafiłam. Tu było ciemniej. Bałam się, że upadnę, bałam się, że zostanę postrzelona, bałam się, że detektyw nie żyje. Wiedziałam, że zmierzam w dobrym kierunku, choć nie dostrzegałam hotelu, który stał za zakrętem. W końcu dopadłam drzwi, ale przed wejściem powstrzymała mnie myśl, że mogę sprowadzić niebezpieczeństwo na gości hotelowych.

Pobiegłam dalej. Wydawało mi się, że za plecami słyszę ruch, więc wskoczyłam za jakiś samochód i znieruchomiałam skulona. Nadstawiłam uszu, ale moje serce waliło tak głośno, że nie byłam w stanie usłyszeć nic poza nim.

Wyjęłam komórkę i przysłoniwszy dłonią ekran, wybrałam numer alarmowy. Kiedy w słuchawce rozległ się kobiecy głos, rzuciłam:

-Jestem na podjeździe domu za hotelem Holiday Inn Express - starałam się mówić jak najciszej. - Detektyw Parker Powers został ranny. Leży na Jacaranda Street. Napastnik mnie ściga. Proszę się pospieszyć.

- Halo? Mówiła pani, że jakiś policjant jest ranny? Czy pani także?

- Tak, detektyw Powers. Nie, ja nie jestem ranna. Jeszcze. Muszę kończyć. - Nie mogłam rozmawiać przez telefon. Musiałam nasłuchiwać.

Teraz, gdy mój oddech się uspokoił, wychwyciłam nieopodal odgłos oddechu oraz cichych kroków. Ktoś szedł chodnikiem przy ogródkach frontowych. Ktoś, kto nie chciał być wyraźnie widziany w świetle latarni. Czy mieszkańcy tych domów nie zauważyli, że coś się dzieje? Gdzie ta powszechnie dostępna broń, kiedy jest potrzebna? Nie miałam pojęcia, czy powinnam biec dalej, czy raczej pozostać w ukryciu z nadzieją, że strzelec mnie nie znajdzie.

Byłam napięta do granic wytrzymałości. Czaje-nie się za tym samochodem okazało się jedne z najtrudniejszych rzeczy w życiu. Nie wiedziałam nawet, dokąd prowadzi pobliska ulica. Za zakrętem mogła się przecież kończyć ślepo. Żeby wrócić na Jacaranda Street i do hotelu, musiałabym się kawałek cofnąć. Możliwe, że znów czekałoby mnie przedzieranie się przez płoty, a na podwórkach mogły być psy... Jeden nawet szczekał, i to wielki, sądząc po głosie.

Kroki, bardzo ciche, zbliżyły się trochę, po czym ucichły. Widział mnie? Lada moment mógł do mnie strzelić?

W oddali rozległo się wycie syren policyjnych. Dzięki ci, Boże, za policję z ich hałasem, światłami i bronią. Cień, który już znajdował się tuż obok miejsca, gdzie się ukrywałam, drgnął i zniknął, kiedy jego właściciel zrejterował, uciekając w ulicę, którą przybiegłam.

Próbowałam wstać, ale bezskutecznie. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Migające światła były coraz bliżej, aż wreszcie musnął mnie snop blasku. Wrócił, oświetlając mnie na dobre.

- Połóż się z rozłożonymi rękami! - rozległ się kobiecy głos.

- W porządku! - odkrzyknęłam.

W tej chwili wydawało mi się to zdecydowanie lepszym pomysłem niż wstawanie.